

*Utrwalone
w bursztynie*

Ryszarda Donajska

Autorka w swoich wspomnieniach powraca do korzeni – ludzi, miejsc i zdarzeń, które ukształtowały ją jako człowieka. Zauważa wpływ wychowania wyniesionego z domu i szkoły, rozmyśla o tajemnicach ludzkiej natury, sile telepatii, potrzebie miłości i jaką rolę to wszystko odgrywa w jej życiu. Sprawdzianem jej moralnego kręgosłupa staje się wyjazd w odległe krańce Polski i poznanie intrygującego mężczyzny z przeszłością. Jak wyszła z tej próby, odpowiedź znajdziemy na kartach tej książki. To nostalgiczna opowieść o sile charakteru i dążeniu do szczęścia, które często wymaga odwagi, aby iść pod prąd.



Ryszarda Donajska urodziła się w 1953 roku w Sztumie, gdzie ukończyła szkołę podstawową i liceum ogólnokształcące. W Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie uzyskała dyplom z geofizyki poszukiwawczej i górniczej. Pracowała w zawodzie, poszukując bogactw ziemi. Po przejściu na emeryturę uznała, że są osoby i zdarzenia, które należy ocalić od zapomnienia, dlatego spisała biografię ks. Bronisława Bartkowskiego, spowiednika Służebnicy Bożej Kunegundy Siwiec, zatytułowaną *Życie Ewangelii*. Kolejna książka *Utrwalone w bursztynie* zawiera jej osobiste wspomnienia.



Ryszarda Donajska

*Utrwalone
w bursztynie*

Redaktor prowadzący: Wojciech Nowakowski
Redakcja: Izabela Dachtera-Wałędziak
Korekta: Hanna Jaskuła
Projekt okładki: Julia Filip
Skład i łamanie: Maciej Torz

Copyright © by Ryszarda Donajska 2025

Copyright © by Sorus® 2025

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68095-54-8 książka

ISBN 978-83-68095-55-5 e-book

Wydanie I, Poznań 2025

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep



www.sorus.pl



[dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)



[wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

Wstęp

*Nigdy fantazja nie wytrzyma
porównania z rzeczywistością.*

Fiodor Dostojewski, *Dziennik pisarza*

Pomysł napisania wspomnień zrodził się po przeczytaniu książki: Lê Tân Sitek *Sama na drodze*. Autorka to dziewczyna z Wietnamu, która studiowała w Polsce i ciekawie opisała swoje przeżycia w miejscach, gdzie wypadło jej żyć. Gdy obudzimy uśpione obszary pamięci zapisane w mózgu, bardzo wyraźnie ukazują się obrazy – wydarzenia z przeszłości. Wyglądają jak kolorowa mozaika, z której wybieramy według uznania czy potrzeby może wcale nie najważniejsze elementy. Starłam się pisać w miarę chronologicznie, ponieważ człowiek podobnie jak drzewo wzrasta od korzeni potrzebnych do rozwoju, umacnia się, rosnąc, aby w dorosłym życiu zasumieć silnymi konarami. Czas szybko płynie i zmienia się styl życia, mentalność ludzi. Mam świadomość, że uchwycony przeze mnie obraz znajduje się już w skansenie, tym samym uważam, że należy ocalić go od zapomnienia. Nie piszę tego w formie powieści, aby stało się to bardziej interesujące, zapis jest zgodny z matrycą utrwaloną we mnie, a to świadczy o jego wiarygodności. Pierwsza część *Szczęście w ciszy* zaczyna się od opisu miejsca i rodziny, a potem od najwcześniejszego wyda-

rzenia, jakie zapamiętałam, i dalej los szczęśliwie prowadzi mnie przez życie. Druga część *Światło odbite* opisuje trudny okres, gdy silny wiatr miłości targa moimi konarami, jakby chciał zniszczyć moje wnętrze. Całość kończy się ślubem jak w prawdziwych bajkach, ale życie to nie bajka. Z tego okresu zachowały się listy, które przeglądałam po raz pierwszy po 40 latach od czasu ich powstania, a serce przeżywało lekturę z równą mocą, jak gdyby zostało to wyryte na twardym kamieniu, nieulegającym erozji. Opis zwykłego dnia, powszedniego życia, może nużyć Czytelnika. Wspomnienia wojenne czy z powstań swoją ekspresją wyrastają ponad szarą codzienność, ale ona – ta szara codzienność – ma też swoją wartość, za sprawą powtarzalności zawartej w wielu życiorysach ludzi żyjących w czasach pokoju.

Wdzięczna jestem Zosi Róg, która na bieżąco czytała moje wspomnienia i zachęcała do pisania. Również nie bez znaczenia były wypowiedzi mojego koleżeństwa z czasów szkolnych: Joli Wachowskiej (liceum), Zygmunta Mietlewskiego (podstawówka), Lidki Apanowicz (studia), którzy zapoznali się z maszynopisem. Znajome polonistki: Lila Chorąży i Krystyna Wielewska po wnikliwym przeczytaniu udzieliły mi wielu dobrych rad. Szczególne podziękowanie kieruję do Michała Bandury, który zapoznał się z tekstem i wprowadził konieczną korektę.

Część pierwsza

Szczęście w ciszy

Dawne dzieje

*Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej:
Za kołami to wieś,
Nie jakieś tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywali!*

Cyprian Kamil Norwid

Zgłębianie dalekich początków nie jest moim zamiarem, będę zaglądać do tego, co jest dostępne tuż za progiem: wspomnień moich najbliższych – czy spisanej niedalekiej przeszłości. W następnych rozdziałach wykorzystam to, co z barwnej mozaiki życia wybrałam, nie dlatego że najbardziej świeciło, ale dlatego że wpadło w moje dłonie. Ta mozaika nie przedstawia pełnego obrazu na ścianie, raczej są to luźne elementy umieszczone w skrzyni, z której tworzy się fragmenty przybliżające minione warunki życia.

1. Ostrów Brozie

Miejsce, w którym dorastałam, jest warte opisu. Dom usytuowano na górcie. Z jednej strony znajdował się park ze starodrzewem kasztanów, akacji, dębów i świerka, zakończony aleją lipową biegnącą od drogi położonej w dole do zielonego kurnika stojącego na wyniesieniu. Od frontu rozpościerał się rozległy teren, na

którym rosły okazałe lipy i anemiczna sosna. Rozłożysty ciemny buk zajmował dużą przestrzeń w znacznej odległości od ściany szczytowej domu w kierunku drogi prowadzącej do miasta. Obok niego umieszczono maszt do wciągania flagi. Do przeciwnego boku domu przylegało niewielkie podwórkó, za nim stał kur-nik z czerwonej cegły, do niego prostopadle przylegała stodoła i w niedalekiej odległości, jakby zamykając obszar, wybudowano oborę. W ten sposób dom i budynki gospodarcze okalały więk-sze podwórkó, tworząc literę C. Ściana otwarta graniczyła z dro-gą łączącą miasteczko Sztum ze wsią Benowo położoną za lasem. Teren siedliska ogrodzony był drewnianym płotem ze sztachet, w którym na ceglanych filarach posadowiono bramę wjazdową, a brama wyjazdowa w pole znajdowała się po przeciwnej stronie podwórka w sąsiedztwie ściany szczytowej stodoły. Przy płocie posadzono świerki, które wyrosły na okazały żywopłot, tam gdzie miały sprzyjające warunki, natomiast w miejscach cienistych albo bardzo piaszczystych ledwo tliło się w nich życie.

W niewielkiej odległości od centrum gospodarstwa przy drodze w stronę Benowa (po prawej stronie) stał domek robotni-czy z czerwonej cegły z okalającym go ogrodem-sadem, którego obrzeże również stanowił płot ze sztachet i świerkowy żywopłot. Ozdobę tworzyły dwa srebrne świerki i biały bez. Za oborą, w naj-większym obniżeniu terenu, usadowiło się oczko sadzawki, w tafli wody odbijały się graby rosnące na przeciwnym brzegu. Pola rozciągały się wokół, za stodołą podnosiły się łagodnie na wzgórze morenowe, aby potem równie łagodnie opaść w dolinę o osi NE na SW. Kolejne wzgórze miało większe nachylenia zboczy i tam – w następnej dolinie – kończył się obszar gospodarstwa. W tej dolinie brał swój początek Kanał Kaniewski (rów odwadniający),

który szerokim łukiem płynął przez las, aby znowu pojawić się na naszych łąkach i znaleźć ujście w jeziorze Parleta, swoje wody unosił dalej aż do zasilenia Nogatu.

W dół od drogi (w lewo, jadąc do miasta) rozpościerały się pastwiska, opadały one łagodnie w dolinę rozciętą rowem, a gdy teren zaczynał ulegać wyniesieniu, przechodził w las. Na zboczu wzgórza rosły sadzonki sosnowo-brzozowe, a na wierzchołku starodrzew sosnowo-dębowy, gdzieniegdzie poprzetykany świerkami i bukami. Tam kończył się horyzont i zachodziło słońce. Z gospodarstwa położonego na górze w tę stronę był ładny widok, szczególnie wiosną: rozmaite barwy łąk, różne odcienie lasu w zależności od stanu zieleni i wzajemnej wędrówki słońca i chmur. Śpiew ptaków lub później latem snujące się mgły nad łąkami, rechot żab i cykady, to powodowało dodatkową lotność duszy. Jesień powlekała drzewa kolorem od złotego do czerwonego brązu. Zimą cisza ośnieżonego lasu oraz przysypane śniegiem łąki powiększały jakby przestrzeń włączoną w nieskończoność wszechświata, szczególnie przy pełni księżyca i rozgwieżdżonym niebie.

Właścicielami majątku była rodzina Donimirskich¹. Gdzieś w pierwszej połowie XIX w. przed 1840 r. ród ten skupiał w swoich rękach kilka majątków w ziemi sztumskiej. Ten o nazwie Zajezerze

¹ Źródła:

Wspomnienia Romana Janta-Połczyńskiego (jr) – fragmenty *Ziemiaństwo Polskie 1920-1945. Zbiór prac o dziejach warstwy i ludzi*, pod red. J. Leskiewiczowej, PWN, Warszawa 1988;

Franciszek Mamuszka, *Sztum i ziemia sztumska. Informator krajoznawczy*, KAW, Gdańsk 1985;

Westpreussisches Güter – Adressbuch, Stettin 1903;

Emil Klingenberg, *Moje wspomnienia*, Wyd. Region Jarosław Ellwart, Gdynia 2020.

znajdował się po drugiej stronie Jeziora Sztumskiego, nazywanego tak od miasteczka Sztum. Przynależało do niego Zajezerze (Hintersee) z ładnym dworkiem, jezioro Parleta z przyległym lasem, Ostrow-Brosze i Małe Zajezerze (Klein Hintersee). Ostrow-Brosze z racji swojego położenia pod lasem pełniło funkcję po części domu myśliwskiego, z czasem stało się osobnym gospodarstwem (majątkiem) z 95 ha ziemi, w tym poza ziemią orną (79 ha) trochę łąk (12 ha) i lasu (2 ha), siedlisko, bagna i drogi (2 ha). Jego właścicielem pod koniec XIX w. był Fryderyk Donimirski, którego brat Henryk posiadał główną część majątku. Henryk Donimirski (1844-1918) założył rodzinę, miał czwórkę dzieci – syna i trzy córki. Był dobrym gospodarzem, polskim patriotą (brał udział w powstaniu styczniowym), podobnie jego następca, syn August Donimirski (1873-1952), zasłynął jako działacz niepodległościowy, brał udział w plebiscycie na Powiślu 1920 r. i w wojnie z bolszewikami. Niemcy z Powiśla uznali zaangażowanie w plebiscycie za zdradę i grozili mu zemstą, jeżeli odważy się wrócić do majątku. August był kawalerem. W tej sytuacji po długich staraniach w 1938 r. zamienił Zajezerze na majątek Nowe, który należał do Niemca Hubschmanna i znajdował się po drugiej stronie Wisły. Jednak nim to się stało, Niemcy stosowanymi przez siebie sposobami (kredyty i banki) odebrali Augustowi Donimirskiemu wielohektarowy obszar ziemi znajdujący się między głównymi budynkami majątku a jeziorem Parleta, czyli cały obszar górki, na której w latach 1935-1936 wybudowano pokazową wieś niemiecką i sprowadzono kolonistów z Niemiec.

Inni krewni z tego rodu mają równie chlubną kartę zapisaną na ziemi sztumskiej. W Zajezerzu i Małym Zajezerzu dodatkowo byli znani z hodowli koni wierzchowych i bydła rasy holenderskiej. Niestety Fryderyk, właściciel Ostrow-Brosza, nie podtrzy-

mał dobrych tradycji rodziny, pozostał kawalerem, był hulaką, lubił zaglądać do kieliszka. Majątek roztrwonił, a sam zamieszkał w skromnych warunkach w Sztumie, gdzie doczekał swojej śmierci. Ostrow-Brosze stało się własnością rodziny niemieckiej Berent (Behrent) – obaj właściciele mają swój wkład w powstanie budynków, które przetrwały II wojnę światową. Rodzina Berentów miała czwórkę dzieci: dwóch synów i dwie córki. Córki powychodziły za mąż i opuściły gospodarstwo. Jeden z synów, Horst, najprawdopodobniej został adwokatem w Kwidzynie (pracował w sądzie), Witold pozostał na gospodarstwie. W latach 20. XX wieku zmarł ich ojciec, więc Witold dalej gospodarzył z matką. Swojej rodziny nie założył, miał również skłonności alkoholowe, podobnie jak jego poprzednik nie po kądzieli (bliskie sąsiedztwo z karczmą „Pod Lipką” temu sprzyjało). Podupadł na zdrowiu i zmarł w 1940 r. Po jego śmierci Horst zamieszkał z matką i dalej wspólnie gospodarzyli. Był dobrym gospodarzem, przyjaznym dla pracowników i dwunastu jeńców angielskich, którzy pracowali aż do końca wojny. W rozmowie na pytania ludzi z sąsiedztwa: „Pracujecie w polu, nie jesteście pilnowani, dlaczego nie uciekacie?” jeńcy odpowiadali: „Nie mamy gdzie uciekać, doczekamy, aż wszystko się uspokoi, tu nie jest źle, jesteśmy bezpieczni”. Dobroć właściciela nie uchroniła go przed zdradą jednego z pracowników, który wydał swego gospodarza Rosjanom, a ci go zamordowali. Zdrajca miał potem wyrzuty sumienia do końca swego życia.

W styczniu 1945 r. Sztum został wyzwolony z okupacji niemieckiej, wkrótce potem zginął Berent. Jego matka wyjechała do Niemiec. Gospodarstwo objął Nalaskowski, który wiosną 1947 r. odstąpił je mojej rodzinie. Rodzina zrzekła się zajętych gospodarstw w lubelskim w ramach repatriacji i w ten sposób uzyskała

prawo własności do nieruchomości ziemskiej wraz z zabudowaniami na Ziemiach Odzyskanych po Niemcu Horscie Berencie w Ostrów Broziu. Potem, zgodnie z uchwalonym dekretem, odebrano im większą część pól uprawnych, pozostawiając ustawowe małe trzy gospodarstwa: babci, stryjenki Meli i stryjka Józka. Mój ojciec kupił pole ok. 7 ha, które sukcesywnie spłacał przez 25 lat.

Z biegiem lat całość tego okrojonego majątku stała się własnością moich rodziców, którzy po osiągnięciu wieku emerytalnego przekazali je swoim następcom: mojemu bratu Jarosławowi i jego żonie Jadwidze – absolwentom Akademii Rolniczej w Szczecinie. Po wojnie dla tego miejsca przyjęła się nazwa Ostrów Brozie.

2. Rodzina

Moi rodzice pochodzili z Wołynia, po drugiej wojnie światowej znaleźli się na Powiślu. Tatuś zamieszkał ze swoją rodziną w Ostrów Broziu. Jego dzieciństwo i młodość związane są z wsią Radomle położoną na południe od Kowla, zamieszkałą przez rodziny polskie. Takie wsie powstawały w XIX w., kiedy właściciele dużych majątków, pozbawieni taniej siły roboczej, sprzedawali ziemię, często rozkładając spłatę na wieloletnie raty. W Królestwie Polskim działali agitatorzy, którzy informowali o miejscach korzystnego zakupu. Prapradziadek zmarł na skutek odniesionych ran w powstaniu styczniowym, a praprababcia wypłaciła swoim dzieciom przynależną im część majątku. Mój pradziadek Michał z żoną, dziećmi i rodzeństwem w ten sposób przeniósł się ze wsi Gliny (koło Konina) do Radomla. Przez wieś przebiegała główna droga, od niej odchodziły dróżki prowadzące do gospodarstw położonych w dali, każdy miał w całości swoją własność.

Zaczynali od początku tak jak osadnicy – karczowany las zamieniali na pola uprawne i budowali drewniane budynki. Pierwsza wojna światowa spowodowała duże straty w gospodarstwie, łącznie ze spaleniem domu. Linia frontu kilkakrotnie zmieniała się w tych okolicach, ale babcia Leokadia dzielnie przetrwała trudny okres, kiedy dziadek zasiliał oddziały armii carskiej. Po wojnie odbudowali zniszczone budynki, dorastające dzieci uczyły się i pomagały w gospodarstwie, a z czasem odchodziły na swoje.

Kiedy mój Tatuś odbywał zasadniczą służbę wojskową w 50. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, wybuchła druga wojna światowa. W sierpniu, przed wybuchem wojny, długimi marszami do 80 km w ciągu dnia jego oddział przemieścił się na Pomorze Zachodnie. Marszruta wymęczała żołnierzy do tego stopnia, że nauczyli się na chwilę zasypiać, idąc w szeregu. Od 1 września walczył na pierwszej linii frontu w okolicach Laskowic Pomorskich w oddziałach armii generała Bortnowskiego, tam dostał się do niewoli niemieckiej. Z Niemiec wrócił 6 września 1946 r. do Szczecina i wkrótce odnalazł swoich najbliższych. Głową rodziny wówczas była babcia Leokadia, ponieważ dziadek Konstanty zginął 25 grudnia 1943 r. podczas napadu Ukraińców na Radomle. Tam utworzyli samoobronę, której dowódcą był stryjek Józek. W czasie tego napadu przy pomocy samoobrony z sąsiednich Zasmęk wieś się obroniła. Po repatriacji rodzina osiedliła się w okolicach Chełma Lubelskiego. Stryjek Antoni (mąż Meli) został zamordowany w grudniu 1946 r. (cel rabunkowy) we wsi Bekiesza (koło Cycowa). Stryjowie Czesław i Tadeusz, jako żołnierze Wojska Polskiego, po wojnie znaleźli się w Sztumie i po śmierci swojego brata Antoniego sprowadzili swoich bliskich na dwa duże

gospodarstwa w Ostrów Broziu (Ostrow-Brosze) i we wsi Kaniewie (Koniecwałdzie) koło Sztumu.

Mój tata Stefan po osiedleniu się w Ostrów Broziu zaczął rozglądać się za towarzyszką życia. Sąsiad Kazimierz Kuriata polecił mu swoją krewną – kuzynkę żony. Późnym latem 1948 r. Stefan pojechał na rowerze do Rozpędzin koło Kwidzyna. Adres miał od sąsiada. Zastał Anielę przy dojeniu krowy. Po powitaniu zapytał: „Słyszałem, że sprzedajecie gospodarzkę?”. Odpowiedź zdziwionej Anieli: „Nic o tym nie wiem, proszę iść na ganek, tam jest mój brat”. Antoni zaprosił gościa do domu, gospodarki oczywiście nie mieli zamiaru sprzedawać. Tak została zawarta znajomość. Stefan ocenił, że dziewczyna jest dość pracowita, zauważył gospodarność w obejściu. Aniela rozważyła, że lat przybywa, nie ma co zwlekać. W czasie wojny uciekli z Majdanu Mokwińskiego przed bandami ukraińskimi i zamieszkali w Kostopolu. Tam poznała kolegę brata, Janka Starożyńskiego, który często ich odwiedzał. Między młodymi zrodziło się uczucie miłości. Janek oświadczył się Anieli, ale ta mu odmówiła: „Janku, czas niepewny, nie wiadomo, co nas czeka i gdzie ciebie wyślą na tej wojnie, nie pora na małżeństwo”. On był pilotem. Zapewniał Anielę o swojej miłości oraz że po wojnie ją odnajdzie. Na wszelki wypadek dał adres swoich rodziców do Stanisławowa. Po latach zawieruchy i tułaczki wojennej, kiedy zamieszkała w Kwidzynie, nawiązała z nimi kontakt listowny i okazało się, że Janek znalazł się w Argentynie, chciałby wrócić, ale nie może. Natomiast Stefan wywarł pozytywne wrażenie, pomyślała, że miłość rozwinie się z czasem. Po kilkukrotnych spotkaniach zdecydowali się na małżeństwo. Ślub odbył się w Kwidzynie w drugi dzień Bożego Narodzenia 1948 r.

Po ślubie mama opuściła swoją rodzinę i zamieszkała z mężem w Ostrów Broziu. Szybko zaprzyjaźniła się z bratowymi Stefanem, w okolicy bliższej i dalszej mieszkali jej starsze kuzynki, też mężatki. Dzień był wypełniony pracą. Zaczęły przychodzić na świat dzieci: córka Bożena, dwa lata później syn Jarek i znowu po dwóch latach córka Ryszarda.

Pamiętam opowiadanie mamy: „Ciebie rodziłam na porodówce w Sztumie. Nie było żadnych komplikacji, urodziłaś się zdrowa, no może trochę owłosiona. Leżało nas kilka kobiet na sali, dzieci przynoszono na karmienie. Wszystkie byłyśmy już szczęśliwymi mamami. Rozmawiałyśmy wesoło, gdy nagle wpadła pielęgniarka i krzyknęła: «Kobiety, jak możecie się śmiać, takie wielkie nieszczęście nas spotkało, ojczulek Stalin umarł!». Ja się oburzyłam: «Jaki ojczulek, to kat i krwio pijca swojego narodu i naszego». Siostra się wystraszyła i uciekła. Chciałam mówić dalej, ale sąsiadki z pokoju zaczęły mnie uspokajać: «Niech pani tak nie mówi, bo wezmą panią do więzienia i rozdzielią z dzieckiem»».

Na szczęście nic takiego się nie stało i miałam kochaną Mamusię zawsze koło siebie. Mogę się tylko domyślać, że pielęgniarka po tym incydencie sprawdziła zapis w dokumentach. Przeczytała miejsce urodzenia na terenie ZSRR: Majdan Mokwiński, powiat Kostopol; akcent mamy też zdradzał, że pochodzi ze wschodu. Pacjentki z sali były autochtonkami o twardej wymowie z niemiecką składnią. Rosjan „poznali” w czasie wyzwolenia i pamiętały, jak było strasznie, jak musiały się ukrywać, aby żołdacy nie zgwałcili ani nie zabili, przecież dla nich one były Niemkami, a i Polki też to spotykało.

Rodzina mojej mamy również pochodziła z Wołynia. Pradziadkowie Jan i Katarzyna wywodzili się z Podlasia ze wsi Wólka

i po powstaniu styczniowym wyjechali na Wołyń. Ziemię 40 ha wzięli na spłatę od hrabiego Małyńskiego, sami karczowali lasy i stawiali budynki. Podobnie robili inni osadnicy, nie tylko Polacy, ale również Niemcy, Ukraińcy i tak z końcem XIX w. powstała wieś Majdan Mokwiński. Gospodarstwa były oddalone od siebie w stylu niemieckim, tzn. budynki i pola wokół, a najbliższy sąsiad za granicą tej własności. Przez wieś przebiegał trakt Ludwipol – Kostopol, ale gospodarstwa były rozrzucone nieregularnie, może ze względu na to, że znajdowały się tam tereny podmokłe i bagienne. Od zachodu płynęła rzeczka Białka, kończąca obszar wsi.

Po śmierci pradziadka gospodarstwo w całości przejął jego syn Stanisław, który ożenił się z Anną. Mieli pięciu synów oraz córkę Anielę. Tam w niedzielę wieczorem 17 września 1939 r. przeżyli napaść Związku Radzieckiego na Polskę. Czołgi posuwały się wolno traktem na zachód, żołnierze trzy dni okupowali ich lasek, ale większych strat nie było. Dziadek Stanisław dalej sprawował urząd sołtysa, ale w Wielkanoc 22 marca 1940 r. Rosjanie go aresztowali. Po długich przesłuchaniach (Berezno, Równo, Dubno) zesłano go na Syberię, kontakt z rodziną się urwał. Po wojnie dowiedzieli się, że zmarł na tyfus w drodze do Armii Andersa. Mamusia miała trzech starszych braci, nadal wspólnie gospodarzyli w tych trudnych warunkach okupacji, najpierw sowieckiej, potem niemieckiej. W grudniu 1942 r. obrabowali ich Ukraińcy. W następnym roku sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, próby utworzenia samoobrony nie powiodły się. W maju sąsiad Ukrainiec ostrzegł ich przed mającą nastąpić w nocy napaścią. Babcia w pośpiechu załadowała na wóz najpotrzebniejsze rzeczy, tak jakby chodziło o zwyczajny wyjazd do miasta. Szczęśliwie dojechali do Kostopola. Tam

starsi bracia znaleźli zajęcie, a mama pracowała w urzędzie zatrudnienia, ponieważ знаła trochę język ukraiński i niemiecki (niemieckiego uczyła się sama w czasie wojny). Widzieli dookoła łuny palących się wsi. Ze względu na trudności z utrzymaniem rodziny na początku 1944 r. zgłosili się na roboty do Niemiec. Po długiej i uciążliwej podróży pociągiem znaleźli się w Działdowie: mam na myśli babcię z dwójką młodszych synów i córką Anielą. Starszych synów (każdego inaczej) wchłonęła zawierucha wojenna. Zamieszkali w baraku. Babcia dojeżdżała do pracy w dużym majątku, wujek – trzynastoletni chłopiec – pasł krowy u bauera, traktowali go dobrze. Mamusia trafiła do niemieckiej rodziny Baznerów, u których pracowała w ogrodzie i kuchni, też dobrze wspominała ten okres. Najmłodszy wujek zostawał sam w baraku. Przejście frontu i koniec wojny przeżyli w Działdowie. Po okresie biedy znaleźli gospodarstwo w Rozpędzinach koło Kwidzyna. Tutaj wrócili z tułaczki wojennej również starsi bracia mamy. Na tym gospodarstwie mój Tatusz poznał moją Mamusię.

W Ostrów Broziu mieszkała i gospodarzyła rodzina mojego ojca. W dużym, pomalowanym na kremowo domu byłego właściciela zamieszkała stryjenka Mela z dziećmi: Teresą, Heńkiem, Staszkiem (urodzeni w Radomlu), a w drugiej części babcia z córką Zosią i synem Stefanem. Tatusz po ożenku z Anielą nadal mieszkał w tej części domu, tam też minęło nasze wczesne dzieciństwo. Domek z czerwonej cegły zajął stryjek Józek z żoną Halinką, gdzie przyszły na świat ich dzieci: Haneczka, Wiesiek oraz Grażynka.

Budynki gospodarcze były obszerne, mieszkańcy również zgodnie i praktycznie dokonali ich podziału między siebie. Rodzina nawzajem się wspierała, szczególnie dbano o stryjenkę Melę,

wdowę po stryжку Antonim. Zastali pola zarośnięte chwastami na wysokość konia, budynki w dobrym stanie, ale ograbione ze sprzętu rolniczego. Nastął czas pokoju, ale taki niepewny, tęsknili za Wołyniem, ale nie mieli złudzeń, pracowali na swoim dla siebie. Konie stepowe z UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) szalały zaprzęgane do maszyn rolniczych, ale byli młodzi i silni, stopniowo ujarzmili zwierzęta, zaś ziemia stawała się polem uprawnym.

Gospodarstwo było okazałe, z namalowaną datą na belce obory: 1937 r. W jednym z pomieszczeń, w świniańni, na murowanym słupie pozostały wyryte imiona i nazwiska angielskich jeńców pracujących u bauera w czasie wojny, metalowy konik (wskaźnik kierunku wiatru) na dachu stajni miał przestrzeloną nogę. Na łące zarastały trawą wyrwy po bombach. My urodziliśmy się po wojnie i mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo, wojna była wspomnieniem dorosłych, tak jak i Wołyń. Naszym miejscem było Ostrów Brozie.

Beztroskie lata

*Godzina się zniża, dotyka mi czoła
metałem swych czystych brzmień,
i drżą moje zmysły. I czuję: podołam –
i chwytam plastyczny dzień.*

Rainer Maria Rilke

1. Łzy i błękit nieba

Jest ładny, pogodny październikowy dzień, błękitne niebo, dużo słońca i ciepło, jestem w krótkich spodenkach i pełnych sandałach. Idę za Tatusiem przez podwórko, w stronę kopca z wysłodkami². Dół w kształcie prostopadłościanu został wykopany przy bramie wyjazdowej w pole. Lubię chodzić za ojcem, zawsze coś się dzieje i prawie nadążam, mimo że tata idzie sprężystym, równym krokiem, czasami się odwraca i coś do mnie mówi. Doszliśmy do kopca. Tatuś się zatrzymał i tłumaczy: „Wysłodki są ciepłe, musisz mieć czyste buty, bo to pasza dla zwierząt. Wytrzymaj sandały tutaj w trawę, a potem możesz na nie wejść, aby je deptać”.

² Wysłodki to krajanka z buraków cukrowych pozostająca po pozyskaniu z nich cukru i innych składników rozpuszczalnych w wodzie w wysokiej temperaturze.

Szybko przecieram buty mimo chłodu rosy, ponieważ mój brat Jarek już tam jest i razem depczemy. Zapadamy się dosyć głęboko, jest to przyjemne, ciepło idzie od tych miękkich, zwiórkowanych buraków. Tatuś z wozu zrzuca widłami kolejne porcje, a Mamusia rozkłada je odpowiednio w kopcu. Z bratem przemieszczamy się tak, aby nie doszło do kolizji.

Naraz słyszę głos taty: „Przyjechał Józek, pójdę do niego, dowiem się, czy jeszcze raz jedziemy”. Idę za ojcem po bruku z kamieni polnych wzdłuż obory. Kopiec stryjka jest przy bramie wjazdowej. Dochodzimy, stryjek Józek siedzi na wozie, rozgląda się, po czym mówi: „Oj, cholipa! Źle podjechałem, muszę jeszcze kawałek pojechać”. Myślę: „Ale frajda, to się przejadę, tylko muszę prędko wdrapać się na wóz”. Chwytam za kłonicę i spiesznie wchodzę po prawym tylnym kole, stryjek rusza i... coś się stało. Nic nie pamiętam. Kiedy ponownie otwieram oczy, widzę błękitne niebo i łyzy w oczach ojca. Tatuś niesie mnie na rękach przed sobą, leżę całkiem płasko, ale dla czego on płacze?

Potem leżę w łóżku i już wiem, co się stało, brat mi to wytłumaczył: „Pppprzejechał po tobie w wóz, nna szczęście wywysłodki są lekkie, w wóz ma kokola gugumowe, a ppod spodem była ziemia wywykopana z kokopca. Mmiałaś szczęście”. Przychodzi Wiesiek, to nasz kuzyn, rówieśnik brata. Jeszcze raz analizujemy zdarzenie. Wiesio mówi z przejęciem: „Trochę wyżej od śladu tego koła, jeden duży krok – zmierzylem, w stronę obory jest bruk, gdyby tam to się stało, byłoby po tobie”. Wie to od swojego taty. Cała nasza trójka jest pod wrażeniem mojego wypadku i szczęśliwa, że tak to się skończyło. Muszę tylko poleżeć na plecach w łóżku i nie ruszać się.

Wiesiek często mnie odwiedza, któregoś razu przyniósł mi liść w innym kolorze.

Mówię: „To nie liść, coś mnie oszukujesz, liście są zielone”.

Odpowiada: „To jest liść z drzewa”.

Oglądam uważnie, dziwię się i pytam: „Czym go posmarowałeś?”.

On tłumaczy: „To jest liść z tego buku, który rośnie w szczycie domu, one wszystkie teraz są w takich ładnych kolorach. Jak chcesz, mogę przynieść ci ich więcej”. Oczywiście, że chcę i potem liście leżą ułożone na krześle obok łóżka. Jak będę mogła wstać, to od razu pobiegnę zobaczyć to drzewo.

Wróciłam do zdrowia i znowu wszyscy razem się bawiliśmy. Czasami i ci, co chodzili do szkoły: siostra Bożena, kuzynostwo Staszek i Hanka. Minęło dużo czasu, gdy brat mi przypomniał: „Już mija rok, jak wpadłaś pod wóz”. Pomyślałam, że muszę zapamiętać: „Rok to taki ogrom czasu, jak to było dawno”. Jak zwykle Jarek mi pomógł, wyjaśnił: „Teraz jest jesień, z drzew spadają kolorowe liście, potem przyjdzie zima i spadnie śnieg, po niej wiosna, gdy zaczną śpiewać ptaki i robi się zielono, w końcu nastanie lato, będzie tak ciepło, że do ubrania wystarczą same szorty i możemy się kąpać”. Ma rację, faktycznie to wszystko już było, dlatego jest takie odległe od tamtych jesiennych liści ułożonych na krześle.

Od tego czasu Ziemia 60 razy obiegła wokół Słońca, a na tym miejscu tylko buk pozostał tam, gdzie rósł, dom, w którym mieszkał Wiesiek, i fragment ceglanego murku z bramy wjazdowej. Bruk z kamieni polnych pewnie zarósł trawą, ale trudno mi to sprawdzić, trzeba by tam pojechać. Mnie wystarczają obrazy, które zapisały się w pamięci, są przejrzyste, jakby zastygły w kropli żywicy i stały się bursztynem.

2. Plido

Jesteśmy po śniadaniu. Zastanawiamy się z bratem, co będziemy robić. Mamusia mówi: „Zapowiada się ładny dzień, możecie iść na podwórko”. Do kuchni wchodzi Tatus i zwraca się do mamy: „Pójdę dzisiaj do Kuriatów po psa, proszę, przygotuj coś dla nich”. Następnie spogląda na nas: „Możecie iść ze mną, wybierzecie pieska, który wam się spodoba”. Szybko zakładam buty, ale Tatus mówi: „To daleka droga, będą bolały cię nogi, lepiej zostań z Mamusią”. Oczywiście ja chcę iść. Tatus się zgadza. Idziemy całą trójką: Bożena, Jarek i ja. Rozmawiamy na różne tematy, gdy mijamy położone z dala od drogi gospodarstwa, Tatus informuje, kto tam mieszka. Pierwszy odcinek drogi znam, tędy chodzi się do miasta. Jednak nie idziemy wzdłuż jeziora Parleta, gdzie jest najładniej, przed jeziorem skręcamy pod górkę i idziemy przez wieś Zajezerze. Droga jest szeroka, kałuże wyschły, więc maszerujemy równym szpalerem, staramy się dorównać do wojskowego kroku Tatusia. Gospodarstwa są położone po obu stronach drogi w niedużej odległości, tak że widać je dokładnie. Dziwi mnie, że wszystkie są takie same, jakby ustawiono trzy klocki – dom, obora, stodoła – okalające nieduże podwórko. W stronę drogi są ogrody – sady.

Przechodzimy przez tory kolejowe i dochodzimy do wujostwa, tu również są duże budynki, olbrzymie drzewa – podobnie jak u nas. Wchodzimy do obszernego, mrocznego domu, bardzo serdecznie wita nas wysoka ciocia Zosia, ale ja nie lubię przytulania i całowania. Siadamy przy stole, chętnie wypijam kompot. Przychodzi wujek Kazimierz, nadal rozmawiają, zaczynam się niecierpliwić, kiwam nogami. W końcu idziemy do piesków. Jakie ładne, wszystkie mają długą, falowaną sierść. Wybieramy jednego,

Tatuś bierze go na ręce i idziemy z powrotem do domu. Za torami kolejowymi stawia go na drodze i piesek biegnie z nami, możemy go głaskać. Zastanawiamy się, jak go nazwać. Bożena proponuje: „Gucio!”. Tatuś tłumaczy: „Zwierzęta nie mogą nazywać się tak jak ludzie, muszą mieć inne imiona”. Pies otrzymuje imię Plido. Teraz wołamy do niego: „Plido!, Plido!”. On merda ogonkiem i biegnie za nami. Już we wsi rozbolały mnie nogi, trochę ciągnę się za wszystkimi, Tatuś w końcu się odwraca i bierze mnie „na konia”. Świetnie wszystko widzę z góry, nie muszę patrzeć pod nogi. Za wsią tata zsadza mnie z ramion, zaraz jest górka, zbiegamy po niej z bratem, aby trochę popatrzeć na jezioro, tam rosną duże drzewa, ale w dali widać taflę wody i łabędzie. Dalej idziemy znaną już trasą, gdy mijamy ostatnie gospodarstwo z dużymi lipami, wiem, że już blisko do domu, trzeba przejść piaszczystą drogą przez ugor i zaczyna się nasze ogrodzenie z dużymi świerkami. Idziemy aleją lipową pod górkę. Mamusia jest w domu, Plido też jej się podoba, bierze go na ręce, aby popieścić. Piesek jest mały, nie tak jak Nero, który był równy ze mną wzrostem i musiałam podnosić ręce, aby go pogłaskać. Podobał mi się ze swoją falistą sierścią, brązową po bokach, na grzbiecie czarną, a podbrzusze miał białe. Bardzo go lubiliśmy, ale już go nie ma. Plida też polubiliśmy, nie wyrósł na dużego psa i gdy Jarek z Wieśkiem zaczęli uczęszczać do szkoły, to on został moim towarzyszem zabaw.

3. Zima

Zimą trzeba się ciepło ubierać, nie to co latem, kiedy wystarczy szorty lub krótkie spodenki, czyli wyskoczyć z łóżka, myk i już się jest ubranym. Przy ubieraniu pomagała mi mama: ciepły

wełniany sweter, kurtka, wełniana czapka zapinana pod brodą, szalik zawiązany z tyłu, tak że z przodu osłaniał brodę, a gdy zimno, to zasłaniał nos i policzki. Rzeczy wełniane robiła Mamusia na drutach. Na Jarka swetrze były dwa jelenie, a na moim – choinki. Czapki dookoła zdobił wzorzysty szlaczek. Wkładaliśmy buty i rękawiczki, biegliśmy na podwórko lub do Wiesia, jeżeli on nie przyszedł wcześniej do nas. Od domu w stronę obory prowadziła udeptana ścieżka, lubiliśmy zjeżdżać po niej w dół na sankach. Pod górkę ciężko ciągnęło się sanki. Czasami szliśmy na łąkę stryjenki Meli, gdzie górką była bardziej stroma i musieliśmy wcześniej ją „ujeżdżyć”, tzn. kilka razy przejechać, a pod górkę ciągnęło się sanki odwrócone szczebelkami do śniegu, a płozami do góry, aby trochę ubić puszysty śnieg. Gdy leżało mniej śniegu, należało umiejętnie kierować, aby nie wjechać w kretowinę, bo wtedy pewna wywrotka. Z tej góry rozciągał się ładny widok. Wszystko przybione śniegiem, łąki porozcinane rowkami, czasami gdzieś wyższe trawy znaczyły swoje istnienie, oczka bagien i w dali las utulony zimową ciszą.

Dobry teren do zabawy stanowiła zamrznięta sadzawka, mogliśmy wchodzić na lód, gdy jego grubość osiągała więcej niż 5 cm – tak nauczyła nas mama. Kamieniem przy brzegu rozbijaliśmy tafłę lodu i mierzyliśmy, nie mógł być cieńszy niż długość dłoni Jarka. Na środku sadzawki strzyjek Tadek umieścił karuzelę, zaczepialiśmy sanki i jedno z nas musiało ją kręcić. Nigdy nie wypadało na mnie, bo byłam najmniejsza. Najlepiej robił to Staszek, on zakładał łyżwy i szybko obracał kołem. Czasami kazał mi sztywno siedzieć na sankach, dotykał moich ramion i lekko popychając, krążył ze mną po sadzawce, wykonując różne niebezpieczne skręty. Od czasu do czasu, aby trochę odsapnąć, polecał

mi siadać z przodu sanek w tej dziurze, gdzie nie ma szczebelków, one unosiły się do góry, a on jednym ruchem wprawiał je w ruch obrotowy. Wszyscy mieliśmy skórzane buty, więc do woli mogliśmy się ślizgać. Gdy podrośliśmy, mama kupiła nam łyżwy, więc na zmianę uczyliśmy się jeździć. Wiesiek miał swoje łyżwy. Z czasem łyżwy brata przypadły mnie, a on dostał większe.

Przy sprzyjających warunkach śniegowych lubiliśmy lepić bałwany i różne fortece. Któregoś razu natoczyliśmy dużo kul śniegowych pod oborą i ulepiliśmy całą rodzinę bałwanów z jakimś murem. Napracowaliśmy się solidnie. Przyszedł Heniek (starszy brat Staszka) i powiedział: „Przyprowadźcie Grażynkę, to zrobię wam zdjęcie”. Wiesiek pobiegł po młodszą siostrę, Heniek poszedł po aparat fotograficzny. Oburzona powiedziała do brata: „To my się tak napracowaliśmy, mamy mokre rękawiczki, a ona też będzie miała zdjęcie!”. Brat mnie uspokoił: „Ona jest jeszcze taka mała, nic by nam w tej budowie nie pomogła, zobacz, jakie to jest duże i okazałe”. Miał rację, najciężej umieszczało się kulę na górze, ona by nawet nie utoczyła takiej kuli.

Kiedy podrośliśmy, tzn. zaczęliśmy chodzić do szkoły, Jarek odkupił od Sfanka z Kwidzyna (daleki krewny) narty: to dopiero była frajda, można było szusować z różnych okolicznych pagórków.

Gdy stryjek Józek z rodziną przeprowadził się do wsi Zajezierze, ich dzieci: Haneczka, Wiesiek i Grażyna często bywali u nas, a my u nich. Pewnego razu poszliśmy na bagna na łąkach. Tam można było wchodzić na lód, jeśli przez kilka dni był mróz poniżej 15°C. Tafla lodu była całkiem gładka, a pod spodem czerni. Jarek nie wziął łyżew, ja z Wieśkiem na łyżwach zaczęliśmy się bawić w ganianego. Mój brat przyłączył się do zabawy, ale nie mógł gwałtownie skręcać, wywracał się. Wracanie

do domu po łyżwy to za długa historia, zdjął więc buty, skarpety i na bosaka ganiał po lodzie.

Innym razem przy wiosennej aurze środek sadzawki pokrywał kruchy lód, od brzegu oddzielony wodą. Z Wiesiem wzięliśmy deskę i dostaliśmy się na tę wyspę, trochę się poślizgaliśmy, aż w pewnym momencie kuzyn wpadł na pomysł zawodów: kto podejdzie najbliżej brzegu. On pierwszy znalazł się w wodzie po pas. Śmiałam się z niego i wolniutko posuwałam w swoim miejscu, ale i ja za chwilę byłam w lodowatej wodzie. Oboje staraliśmy się wdrapać z powrotem na lód, mocząc ubranie wyżej. Nie wiem, dlaczego nie wyruszyliśmy w stronę brzegu, może baliśmy się mulistego dna? Po zejściu z sadzawki chciałam, żeby Wiesiek poszedł ze mną do domu. On bał się mojej mamy. Przekonywałam: „Wejdzimy cicho, od razu na strych, tam zwykle wiszą jakieś suche ubrania po praniu, więc się przeberzemy”. Nie dał się namówić, poszedł do obory, gdzie w parniku na węgiel gotowały się ziemniaki dla świń. Tam się rozebrał i wysuszył ciuchy oraz buty. Ja zrealizowałam niezauważona przez nikogo swój plan i przybiegłam do Wiesia z jakimiś spodniami Jarka. On wziął je na chwilę, potem, gdy stwierdził, że jego ubranie jest wystarczająco suche, nałożył je i poszedł do siebie do domu, ok. 2,5 km. Żadne z nas nie odchorowało tej przygody.

Przy wiosennych roztopach woda tworzyła rozlewiska na łąkach i pastwiskach. Czasami zdarzały się mrozy i wtedy powstawały duże przestrzenie do jazdy na łyżwach. Któregoś roku Jarek z trzech łyżew skonstruował bojer z żaglem: to dopiero była zabawa.

Gdy mieszkowałam u stryjków Józków, to czasami z Wiesiem chodziliśmy pojeździć na Jezioro Sztumskie: jeździło się kilometrami aż do zmęczenia.

Przez kruchy łód na sadzawce o mało nie utopiła się Zorka, nasza ruda suczka. Były już wiosenne roztopy, wiedziałam, że na taki łód się nie wchodzi, łatwo rozbijało się go kijem. Rodzice ładowali obornik na wóz i Tatuś wywoził go na dużą gromadę w polu. Ja też się kręciłam z tej strony obory z Zorką, ona w pewnym momencie wbiegła na sadzawkę, nie słuchała mojego nawoływania. Na środku sadzawki łód się zarwał i pies znalazł się w wodzie! Zorka machała łapkami, ale nie umiała się wydostać z przerębli. Stałam przerażona na brzegu, nie miałam, jak jej pomóc. Pobiegłam do Tatusia i powiedziałam, co się stało, przybiegł nad sadzawkę, spojrzał na rozpaczliwą walkę Zorki. Powiedział: „Na taki łód nie ma co wchodzić”. Pobiegł do stodoły, przyniósł długą drabinę, z Mamusią ułożyli ją na lodzie i Tatuś, czołgając się, doszedł do pieska, wyciągnął go z wody i wrócił na brzeg. Cały czas się bałam, że drabina nie utrzyma się na lodzie i Tatuś zanurzy się w wodzie, która wypływała na łód. Obie z Mamusią stałyśmy na brzegu.

Drogę do miasta (ok. 3 km) rozsuwał drewnianym pługiem w kształcie trójkąta mój tata lub stryjek Józek. Po takim wyczynie konie wracały spocone. Dzieci do szkoły w Sztumie też przemienienie odwożono saniami. Ze szkoły wracały już same. Ponieważ jako jedyna w rodzinie miałam lekcje w klasach początkowych (poza drugą klasą) zaczynające się dopiero w południe, więc w obie strony chodziłam na piechotę. Wtedy już stryjkowie Józkanie (tzn. stryjek Józek ze stryjenką Halinką) mieszkali we wsi, skąd było blisko do miasta, więc często u nich pomieszkowałam, zwykle po tygodniu, potem trochę w domu, i znowu wracałam. Zdarzyło się to, gdy byłam u stryjków. Tatuś wioził saniami Bożenę i Jarka do szkoły, a stryjenkę Melę i moją mamę do miasta z jajkami i masłem. Te produkty wiejskie sprzedawały u znajomych

rodzin po domach. Na drodze utworzyło się dużo zasp śnieżnych i przejeżdżając przez jedną z nich, sanie się wywróciły. Było dużo śmiechu. Nikomu nic się nie stało poza śniegiem za kołnierzami, nawet jajka się nie potłukły.

W pierwszych latach nauki w najkrótsze dni roku wracałam do domu, gdy zmrok zasnuwał ziemię lub było całkiem ciemno, księżyc zwykle wschodził później. Jesienią i wiosną zachwycali mnie zachody słońca, ponieważ droga polna prowadziła na południowy zachód. Słońce jak olbrzymia czerwona piłka zniżало się coraz bliżej do ziemi, tworząc wokół rozświetloną zorzę, zmieniając odcienie, chowało się za horyzontem, pozostawiał tylko blask, który stopniowo zanikał. Przy drodze właściwie nie było zabudowań, pierwsze trzy domy znajdowały się zaraz za miastem, potem pola, jezioro Parleta, znowu pola, dwa gospodarstwa po lewej stronie z dala od drogi i ostatnie – trzecie po prawej tuż przy drodze. Tu był problem z małym pieskiem, który wybiegał z obejścia i głośno ujadł.

Jezioro Parleta było dzikim miejscem, w kierunku drogi rosły duże drzewa, a z drugiej strony zaczynał się las, który rozciągał się na wzgórzu morenowym dalej na zachód, przybliżając się coraz bardziej do drogi. Około 0,5 km za naszym zabudowaniami droga wchodziła w las. Za jeziorem prowadziła skrajem rozległej doliny (torfiaste łąki, pozostałość po jeziorze Parleta), a po lewej stronie teren wznosił się – tam znajdowały się pola uprawne. Zwierzęta leśne lubiły wieczorem wychodzić na obsianą oziminą ziemię w poszukiwaniu pożywienia. Stada jeleni z łaniami czy sarny nie były groźne, ale gdy widziałam watahę dzików, ustępowałam im z drogi, tzn. czekałam, aż przejdą, czułam wtedy lekki niepokój. One nie zwracały na mnie większej uwagi. Od Mamusi i Bożenki

nauczyłam się wielu piosenek, także tych nadawanych przez radio, tak że na całą trasę wystarczało, abym je sobie nuciła pod nosem.

Gdy mieszkałam u stryjków Józków, miałam pięciu kolegów z sąsiedztwa z mojej klasy, z którymi chodziłam w obie strony. Po dużych mrozach mogliśmy iść na skróty przez jezioro, wtedy naprawdę było blisko, a jezioro ukazywało nieco swoich tajemnic. Wracając, jeżeli śnieg nie przyprószył lodu, pochylaliśmy się nisko nad przeźroczystą taflą, aby zobaczyć ten podwodny świat – wodorosła. Szczególną uwagę należało zachować przy przechodzeniu przez tory kolejowe, uważnie patrzyliśmy, czy nie jedzie pociąg i czy przypadkiem nie widać dróżnika. Jego dom oraz przejazd kolejowy znajdowały się w pobliżu miejsca naszej przeprawy przez nasyp i tory. Lubiliśmy te wspólne wędrówki i rozmowy na aktualne tematy.

W drugiej klasie szkoły podstawowej wracałam w południe do domu często ze starszymi ode mnie dziećmi od sąsiadów z Małego Zajeziera (ta nazwa nie była używana). Mój Tatus określał to miejsce „Zakłety Kąt”. Po drugiej stronie drogi wzdłuż jeziora Parleta znajdowała się stosunkowo stroma góra, latem będąca pastwiskiem, a zimą przysypana śniegiem. Przy sprzyjających warunkach szliśmy jej grzbietem, a potem na tornistrach zjeżdżaliśmy w dół, czasami podchodziliśmy z powrotem. Na takich zabawach trochę cierpiały zeszyty, zdarzały się rozmyte plamy z atramentu.

Jeszcze przed rozpoczęciem przeze mnie nauki w szkole Mamusia lubiła w wieczory zimowe siadać przy kaflowym piecu i czytać na głos książki. Nasza trójka obsiadała ją (ja na stołeczku) wokoło i słuchała. Pamiętam *Chłopców z Placu Broni*, nie wszystko dla mnie było zrozumiałe, więc pytałam i zawsze ktoś mi wy-

jaśnił. Przy lekturze *Awantury o Basię* już nie chciałam zawracać im głowy, tak byli zasluchani, pomyślałam: „Zapamiętam tytuł książki i jak będę większa, to sama sobie przeczytam”. Znalazłam zniszczony, stary elementarz Bożenki, Mamusia zgodziła się, że-
bym z niego uczyła się czytać. Cierpliwie pokazywała mi literki, dawała ołówek między palce, brała moją rączkę w swoją rękę i pisałyśmy. Potem musiałam już sama, różnie to wychodziło. Po każdej takiej lekcji przemieszczałyśmy się o kilka kartek elementarza, następnie już sama ćwiczyłam. Kusiło mnie, aby się dalej posuwać, gdy dochodziła nowa literka, pytałam wtedy kogoś, kto był w domu. Któregoś wieczoru doszłam do obrazków z ładnie namalowanymi gąskami, brakowało mi literek, żeby przeczytać. Tatus pierwszy wrócił do domu, pamiętam, jak cierpliwie mi tłumaczył, to jest literka „g”, a to „ę”. W ten sposób nauczyłam się czytać, mając pięć lat. Pisałam trochę koślawo.

Nadchodziła wiosna, zrobiło się ciepło, rodzeństwo było w szkole, a Mamusia jechała do miasta i spytała: „Co ci kupić?”. Odpowiedziałam: „Książkę”. Wróciła z książeczką *Do biedronki przyszedł żuk*. Ucieszyłam się i poszłam do naszego pokoiku na poddaszu, wygodnie się usadowiłam. Postanowiłam, że przeczytam ją kilka razy, nim siostra wróci ze szkoły. Chciałam się pochwalić przed Bożenką, jak ładnie czytam. Wierszyka nauczyłam się prawie na pamięć i mój popis dobrze wypadł. Odtąd czytanie książek stało się moim kolejnym ulubionym zajęciem.

Dzięki Staszкови mieliśmy czasami „kino domowe”, to było jeszcze przed epoką telewizorów, których pojawienie zbiegło się z moim pójściem do szkoły. Kuzyn ustalał z moją Mamusią, że mamy do naszej dyspozycji pokój (mieliśmy jeden). Staszek ustawił na podwyższeniu (taboret na krześle) projektor do wyświet-

tlania, a Haneczka z Bożenką zawieszały biały obrus na bordowym kilimie, który zasłaniał drzwi do dalszej części domu, gdzie mieszkała stryjenka Mela. Jarek, Wiesiek i ja ustawialiśmy krzesła między projektorem a piecem. Na koniec Staszek otwierał szeroko okno i zsuwał drewniane okiennice, po czym zamykał okno i na nim dodatkowo zawieszał koc. W pokoju robiło się całkiem ciemno, narastała atmosfera oczekiwania, zajmowaliśmy miejsca na krzesłach, a operator uruchamiał sprzęt. Na ekranie pojawiały się obrazy, były to bajki dla dzieci, więc z dużym zainteresowaniem je oglądaliśmy, a ja nie miałam problemu ze zrozumieniem treści. Po seansie „ożywiona dyskusja” i wszystko wracało do ustalonego porządku, tzn. pokój do codziennego wyglądu, a my do naszych rozmaitych zajęć.

4. Wiosna, lato, jesień

Powtarzające się cyklicznie pory roku ludziom żyjącym na wsi narzucają określony rytm zajęć. Jako dzieci, dorastając, stopniowo włączaliśmy się w pomoc dorosłym. Na nasze dziecięce zabawy te trzy pory roku: wiosna, lato, jesień zlewały się w jeden długi okres od roztopów do opadów pierwszego śniegu. W miarę, jak słońce coraz bardziej ogrzewało ziemię, my pozbywaliśmy się ciepłych ubrań, dzień się wydłużał, sprzyjał dłuższym zabawom na dworze, przerywanym powrotami na obiad i kolację.

Wiosna. Mieszkaliśmy pod lasem, za domem znajdował się park, lubiłam się budzić, gdy wstawali rodzice, a za oknem słyszałam prawdziwy koncert różnych treli, nie do przełożenia na instrumenty lub nutki, to była pełnia koncertów różnych ambitnych wykonawców nawzajem się uzupełniająca. Z wiekiem coraz lepiej

rozumiałam, że artyści śpiewają na chwałę Boga, dlatego jest to takie doskonałe. A ponieważ byłam przypadkowym słuchaczem, więc leżąc w łóżku, całą sobą chłonełam ten śpiew.

Rozwijająca się przyroda niosła wiele niespodzianek. Z dużym zainteresowaniem śledziliśmy, kiedy jakie drzewa puszczają pąki, jak rozwijają się liście. W trawie i ogródku pojawiały się pierwsze kwiaty, ale najwięcej atrakcji było w budynku zwanym oborą. Mieściły się w nim oprócz samej obory również stajnia, świnia i owczarnia. Kara ożrebiła się i pojawił się mały źrebak kasztanek. Dziwiło nas, że nie jest podobny do swojej mamy. Miał jasną grzywę, ogon i pęciny, białą gwiazdkę na czole, reszta była koloru kasztana, więc nazwaliśmy go Kasztan. Jego mama była czarna z białą gwiazdką na czole i trochę groźna. Do zagrody mogliśmy wchodzić tylko w obecności Tatusia, który zajmował się dużym koniem, a my bawiliśmy się z małym. Biegał za nami po pastwisku i bardzo lubił pieszczoty.

Małe prosiaczki miały swoją zagrodkę z czystą słomą i dużą lampą „kwoką”. Kiedy chciały jeść, przechodziły przez nieduży otwór między zagrodami do swojej mamy, która zajmowała większe pomieszczenie. Maciora układała się na boku, a one znajdowały sutek i równiutko ustawiały się jeden obok drugiego. Syte kładły się pod lampą, tworząc pierścień, były różowe, takie delikatne, mogliśmy brać je do rąk. Czasami baraszkowały w swojej zagrodce.

Cielaki mama poila mlekiem z wiadra, mogliśmy trzymać takie wiadro, a potem dawać im palec do ssania. Krowy stały osobno, więc do zagrody z cielakami mogliśmy bezpiecznie wchodzić i się z nimi bawić. Małe baranki też były ładniejsze od swoich rodziców i skore do zabawy.

Wyklute pisklęta: kurczaki, gęsiaczki, indyki jak kulki puchu mogliśmy brać w złożone obie dłonie. Kiedy dawaliśmy im jedzenie, ładnie ćwirkały lub świergoliły – przekomarzały się z nimi, naśladując ich głosy.

Kiedyś wczesną wiosną siedzieliśmy ze Staszkiem pod ścianą obory od strony sadzawki i wygrzewaliśmy się w słońcu. Powiedziałam: „Ach, wszystko przez te drzewa, byłoby całkiem przyjemnie, ale one wieją tym zimnym wiatrem”. On na to: „Właśnie jest odwrotnie, wiatr wieje z daleka, a one trochę go tłumią, wy-ciszając podmuchy”. Nie ukrywając zdziwienia, wyraziłam swoje przekonanie: „Co ty opowiadasz, nie widzisz, jak kołyszą się gałęzie i robią wiatr. One są takie wielkie i wiatr jest silny”. Staszek uśmiechnął się przyjaźnie i wyjaśnił mi zjawisko wiatru. No cóż, miał dar tłumaczenia i przekonał mnie.

Wyjazd do kościoła był ważnym wydarzeniem, czasami chodziliśmy na piechotę i wtedy, w drodze powrotnej, któreś z rodziców niosło mnie kawałek. W kościele Mamusia przykazywała, że trzeba się cicho zachowywać, nie rozmawiać i nie rozglądać się. Dziwiło mnie to, przecież cały czas coś było słychać: ksiądz śpiewał albo coś mówił, śpiewali ludzie, grały organy. Czasami, gdy głośnie muzyka grzmiała z góry, kojarzyła mi się z „gniewem” Pana Boga. Okrągły witraż przedstawiał postać Matki Bożej, a w jej sercu wbite sztylety. Przerazał mnie ten widok. Mamusia wyjaśniła mi symbolikę tego obrazu, tym bardziej starałam się być grzeczna. Z prawej strony od ołtarza wisiał ładny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z dwiema szramami na policzku, mama powiedziała, że to żołnierz szablą tak zranił twarz. W domu w pokoju wisiał obraz Pana Jezusa z taką dużą głową i ręką uniesioną w geście uwagi. Bożenka wytłumaczyła mi: „Zobacz, ta głowa jest normalnych rozmiarów, a postacie świętych

maluje się w takiej aureoli, to oznacza świętość”. Lubiłam wpatrywać się w ten obraz. O Matce Bożej i jej synu Jezusie Chrystusie dużo opowiadała nam mama. Pewnego razu robiła na drutach sweter. Do mnie przyszła Grażynka, aby się bawić. Usiadłyśmy przy Mamusi i ona zaczęła snuć opowieść o pojmaniu Jezusa, jak niósł ciężki krzyż, jak ludzie z niego drwili. Chciało mi się płakać, ale wstydziałam się łez, wyszłam z pokoju, stanęłam pod drzwiami i nadal nadśluchiwałam opowieści. Ocierałam łzy płynące mi po policzkach.

Gdy było ciepło, biegałam w sukience. Pamiętam: przechodziłam z Wieskiem pod drutami kolczastymi na pastwisko. Mimo że on mi pomagał, rozerwałam sukienkę na plecach i szmatka została na kolcu. Zdjęłam ją ostrożnie. Wiesiek współczująco powiedział: „Teraz to mama cię zbije”. Wzięłam szmatkę do ręki i tak poszłam do mamy. Powiedziałam, co się stało, wcale nie krzyczała, dała mi inną sukienkę, a tę przy okazji załatała na maszynie do szycia.

Po kolejnej zimie, kiedy chodziłam tylko w spodniach, nie chciałam nałożyć sukieneczki, więc dalej ganiałam w spodniach. Nadeszła niedziela. Mama już wyprawiła Jarka do kościoła, miałyśmy go za chwilę dogonić, ale jeszcze musiała mnie ubrać. Wyjęła sukienkę, a ja: „Nie chcę, chcę iść w spodniach”. Siedzę na fotelu, mama stoi nade mną, tłumaczy: „Jarek już poszedł, musimy iść prędko, nie ma czasu, ubieraj się!”. Odpowiadam: „Nie chcę sukienki”. Mama zdenerwowana: „Jak nie nałożysz, zostaniesz w domu!”. Myślę: „Niedobrze, ja chcę iść do kościoła. No cóż, trudno”. Mam łzy w oczach, żal mi mamy, która się coraz bardziej denerwuje, ale mówię: „Zostanę tutaj”. Mama gdzieś wybiega, przynosi moje spodnie, wyjaśnia: „Zobacz, one są zniszczone i brudne, nie masz innych, na następną niedzielę uszyję ci spodenki do kościoła, a teraz załóż sukienkę”. Wtedy po raz ostatni ubra-

łam sukieneczkę. Problem jednak pozostał. Kiedyś bawiłam się na podwórku, podszedł Staszek: „Popatrz, wzięłem aparat, zrobię ci dużo zdjęć, ale nałóż sukienkę”. Żał mi tych zdjęć, ale jak jemu wytłumaczyć, przekonać, aby mi zrobił zdjęcia w spodenkach. Czasami przyjeżdżała ciocia Amelia (siostra ojca) z Chojnic. Nie podobało jej się, że bawię się z chłopakami, noszę spodnie. Uczyła mnie dygać i innych dobrych manier. Jej wnuczki trochę młodsze ode mnie ładnie „dygały”. Grażynka szybko się nauczyła, a ja nie opanowałam tej sztuki pełnej wdzięku. Po jej wyjeździe Mamusia jeszcze jakiś czas wracała do tematu sukienki, w końcu w jakiejś dyskusji ze mną przyznała: „Wiesz, mi to tak bardzo nie przeszkadza, nie widzę nic złego, że chodzisz w spodniach, ale ciocia Amelii bardzo się to nie podoba”. Spódnice i sukienki zaczęłam nosić z pierwszym dniem rozpoczęcia szkoły, bez żadnego namawiania. Wiedziałam, że dziewczynki do szkoły chodzą w spódniczkach, na które nakładały fartuszki. Jednak zaraz po powrocie ze szkoły ściągałam ten uczniowski strój i wkładałam spodnie.

Bardzo lubiliśmy wujka Józka, młodszego brata naszej mamy. Wtedy był studentem Politechniki Gdańskiej. Spędzał u nas wakacje, pomagając w rozmaitych pracach w gospodarstwie, a zarazem poprawiał swój skromny budżet. Któregoś wieczoru zwołał nas do domu, chciał zastąpić mamę przy wieczornym myciu dzieci. Mycie w tygodniu odbywało się w dużej misce z ciepłą wodą, tylko w soboty była generalna kąpiel w wannie. Zaczął nas poganiać: „Szybciej, dzieciaki, rozbierajcie się, ażebyście się umyły, nim przyjdzie tata”. Prędko ściągnęłam bluzkę i wskoczyłam w sandałkach do miski z wodą. Wujek się zdziwił: „A to co, co ty robisz?”. Odpowiedziałam: „Wujku, żeby było szybciej!”. Najbardziej rozbawiło to moje rodzeństwo, długo mi to przypominali.

Bawiłam się głównie z Jarkiem i Wieskiem, z czasem dołączyła do nas Grażynka. Starsi od nas: Bożenka, Haneczka i Staszek po powrocie ze szkoły lub w niedzielę i wakacje organizowali wspólne zabawy.

Zabawa w „chowanego z zaklepywaniem”. Jedna osoba stawiała przodem przy drzwiach stodoły stryjenki Meli (to był środek budynku), zamykała oczy, liczyła do dziesięciu, pozostali w tym czasie ukrywali się po różnych zakamarkach podwórka, potem wołała: „Idę!”. Szukała kryjących się, w momencie gdy odeszła trochę dalej od tych drzwi, należało wyskoczyć z kryjówki, dobiec do drzwi, aby się zaklepać. Ten szukający zauważał biegnącego i zaczynały się wyścigi, kto pierwszy dobiegnie. Kiedy osoba szukająca zobaczyła w kryjówce kogoś, wołała jej lub jego imię, i znowu wyścigi do drzwi. Trochę miałam problem z tą zabawą: gdy chowałam się blisko, łatwiej można było mnie znaleźć, kiedy daleko – trudniej mi było wygrać wyścigi, bo byłam najmniejsza. Pewnego razu poszliśmy z tą zabawą na łąkę za sadzonkami (tak nazywaliśmy posadzone zaraz po wojnie fragmenty lasu – sosny i brzozy). Rozciągały się tam rozległe pastwiska z niekoszoną trawą, wyższą ode mnie, w takiej gęstwinie nietrudno się zgubić. Potem wszystkie dzieci mnie szukały, a Haneczka weszła na drzewo, aby zobaczyć, gdzie poruszają się żdźbła trawy, i tak mnie odnaleźli.

Podobną przygodę miałam w zbożu. Odkąd brat zaczął uczęszczać do szkoły, często rodzice zabierali mnie w pole, abym nie zostawała sama. Byliśmy daleko od domu (ok. 1 km), na polu, pod krzakami, po jakimś czasie zachciało mi się spać. Mamusia spytała: „Wiesz, jak iść?”. Odpowiedziałam: „Dojdę do drogi, pójdę nią i minę gospodarstwo państwa Bojarowskich, skręcę w prawo w naszą drogę przez pola, a potem widać stodołę”. Mama się

zgodziła, abym poszła do domu. Kiedy wyszłam na drogę publiczną, pomyślałam: „To tak daleko tymi drogami, a te pola po prawej stronie to nasze, mogę nimi iść i zawsze dojdę do drogi, która prowadzi w pola wzdłuż stodoły, to znacznie bliżej”. Weszłam w zboże wyższe ode mnie, idę i idę, i nie widać końca, czyli tej drogi kończącej te hektary. Rozważam: „Może ja niechcący kręcę się po tym polu, przecież nic nie widzę, tylko rosnące zboże jak las trzcinowy”. Znalazłam rozwiązanie – to zboże jest siane siewnikiem, ma swoje rzędkie: aby iść takim rzędkim i nie zgubić go, złożyłam dłonie w strzałkę, ustawiłam w rzędku i ruszyłam przed siebie. Udało się, wyszłam z tego pola na upragnioną drogę.

Inną ulubioną zabawą były „podchody”. Dzieliłiśmy się na dwie grupy, jedna uciekała, znacząc drogę strzałkami i zostawiając w miejscach z rysunkiem koperty schowane w pobliżu kartki z napisanymi rozmaitymi poleceniami. Po ostatniej strzałce należało się ukryć. Druga grupa szła po tych śladach i wykonywała zostawione zadania, a na końcu szukała ukrywających się. Ta historia zdarzyła się wiele lat później, gdy do zabawy włączyły się dzieci Teresy: Krzysiek i Zdzisiek. Ja z nimi tworzyłam grupę uciekającą, a Grażynka z kuzynkami Bają i Daną z Chojnic – grupę poszukującą. Po ostatniej strzałce na granicy sadzonek i doliny (pastwisko) Zdziśka ukryliśmy w krzakach, a ja z Krzyskiem weszliśmy na sąsiadujące ze sobą sosny wysokie na około 5 m. Kiedy znaleźliśmy się u góry, stwierdziłam: „Niedobrze, jesteśmy za blisko siebie, jak znajdą któreś z nas, mają i drugiego”. Nie chciało mi się schodzić w dół, weszłam na sam wierzchołek i rozhuśtałam drzewo, zdążyłam pomyśleć: „Jaki świetny sposób przechodzenia na sąsiednie drzewo”. Już miałam przeskoczyć, gdy czubek się złamał, a ja wraz z nim wylądowałam na plecach pod drzewem. Bolało

mnie w plecach, aby nie psuć zabawy, ściągnęłam bluzę z dresu, zawiązałam mocno wokół pasa i poszłam do ostatniej strzałki, tam położyłam się na wznak. Gdy przyszły dziewczyny, zdziwiły się, że jestem w takim miejscu i nigdzie się nie schowałam. Powiedziałam, że się nie bawię, niech szukają chłopaków. Potem, jak wracaliśmy do domu, opowiedziałam im przygodę. Uważałam, że upadek nie był taki straszny, ponieważ trzymałam czubek drzewa, który zahaczał o gałęzie gęsto rosnących sosen. Do końca tego dnia i kolejny przeleżałam w łóżku, ale po dwóch dniach już byłam z nimi na sianie, gdzie skakali w najlepsze. Krzysiek wchodził na belkę, wybijał się, robił koziołka i lądował bezpiecznie. Znając moje umiejętności, namawiał mnie na takie skoki, odmówiłam: „Jeszcze nie teraz, wolę popatrzeć”.

Lasek sosnowy rósł zaraz za domem, a drugi za łąkami, gdzie tren wznosił się ku górze, dalej zaś znajdował się starodrzew. Sosny zostały posadzone w równych rzędach, z niewielkimi poletkami brzoź. Sadzono go zaraz po wojnie, Bożenka pamiętała, że tam biegali i widziała jasną głowę Staszka ponad drzewami. W tym lasku rosło dużo poziomek i maślaków, tam też Jarek chodził z Wieśkiem na polowania, obaj mieli karabiny. Kiedyś po powrocie z takiej wyprawy stryjenka Mela spytała Jarka: „Co upolowaliście?”. Odpowiedź: „Dziki”. Pytanie: „A jak dużo?”. Jarek: „Oj, stryjenko, dużo, tak jak stodoła”. Stodoła była największym obiektem, jaki wtedy widzieliśmy, w Sztumie bloki budowano w tamtym okresie najwyżej dwupiętrowe.

Zabawy piłką w dwa ognie, w palanta albo scyzorykiem w wojnę, patykami w pięćsetkę angażowały wszystkich uczestników, ale nie miały posmaku przygody. Wchodzenie na drzewa, szczególnie liściaste, wymagało pewnej zręczności. Mieliśmy ulubione dwa:

buk i dąb; wystarczyło, ażeby ktoś podsadził do pierwszej gałęzi, a potem prawie jak po drabinie w górę. Gałęzie buka od głównego pnia odrastały półkoliście, można było usiąść okrakiem w takim zagłębieniu, coś jakby na koniu.

Za bukiem i olbrzymim kasztanem w stronę drogi przebiegała stroma skarpa, w niższej jej części stał drewniany płot i rósł rzadki, anemiczny świerkowy żywopłot. Tą drogą czasami maszerował oddział żołnierzy, wtedy nasza trójka stawała na skarpie i jak najgłośniej śpiewaliśmy zawsze tę samą piosenkę. To był pomysł Wieska, który ostrzegał: „Gdyby się zdarzyło, że któryś z żołnierzy chciałby nas gonić, uciekamy w różnych kierunkach”. Nie wiedziałam, dlaczego to mogło być niebezpieczne, tym głośniej śpiewałam, aby dobrze nas słyszeli: „Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją...”.

Mamusia wykonując różne prace, lubiła śpiewać. Repertuar miała rozmaity: dużo partyzanckich, wojskowych, harcerskich piosenek. Melodie były proste, a teksty działały na wyobraźnię. Szczególnie polubiłam i szybko się nauczyłam *Serce w plecaku* – widziałam to serce, które żołnierz schował do plecaka; *Hej sokoły* – ona odzwierciedlała tęsknotę rodziców za Wołyniem; *Białe róże* – to przypominało nasze łąki i tęsknotę za tymi, co nie wrócili z wojny. *Czerwone maki na Monte Cassino* są z późniejszego okresu, kiedy spotkałam tekst w notesie Tatusia. Te piosenki podśpiewywałam, gdy gdzieś chodziłam, narzucały rytm krokom. Były inne nadające się do śpiewu, gdy gdzieś siedziałam np. *Prząśniczka*. Mama zimą przędła na kołowrotku wełnę i wtedy często ją śpiewała. Podobały mi się kolędy, które wspólnie śpiewaliśmy przy zapalonych świeczkach na choince. Którejś zimy często je sobie nuciłam, aż pewnego razu Mamusia powiedziała: „Dziś jest

ostatni dzień śpiewania kolęd”. Zdziwiło mnie, że takich ładnych piosenek nie śpiewa się przez cały rok. Tego dnia, krążąc po pokoju, prześpiewałam znany mi cały repertuar, kilkakrotnie powtarzając, aby się jakoś pożegnać z nimi. W podobny sposób odżałowałam granatowe trzewiczki, z których wyrosłam. Gdy wiosną Mamusia mi je nałożyła i okazało się, że są przyciasne, wyszłam w nich na podwórko i chodząc przed domem, śpiewałam w rytmie kroków: „Takie ładne buty”.

Latem lubiliśmy się kąpać. W naszej sadzawce woda nie była czysta, ale mogliśmy chodzić nad staw cioci Marcinkowskiej (kuzynka mamy), położony pod lasem wśród pól. Tam od razu woda sięgała powyżej mojego pasa. Staszek uczył nas pływać. Kiedyś byłam tylko z Jarkiem, on umiał już pływać i wbił kij niedaleko od brzegu, potem wylegiwał się na kocu. Ja nie umiałam pływać i podskakując, chciałam dojść do kija, ale brat zawołał: „Nie idź tam, bo nie będziesz miała gruntu, tam jest muł!”. Chciałam osiągnąć cel, w pewnym momencie mój wyskok okazał się za słaby, aby nabrać powietrza, znalazłam się pod wodą, szybko się odwróciłam w stronę brzegu, pochyliłam do przodu i wiosłując rękami, szłam w stronę płycizny. Jarek na szczęście skoczył do wody, złapał mnie za rękę, gdy się wyprostowałam, byłam już ponad wodą i mogłam oddychać. Kiedy wróciliśmy na koc, powiedział: „Czy wiesz, że mogłaś się utopić?”. Byłam zdziwiona, że tak przejmuję się tym wydarzeniem, przecież i tak kiedyś człowiek musi umrzeć. Odpowiedziałam zgodnie z wewnętrznym przekonaniem: „Raz kozie śmierć, a kiedy, czy ma to takie znaczenie?”.

Gdy czasami sama się włóczyłam wokół gospodarstwa, czując jakąś niepewność, słyszałam w myślach jakby głos mamy: „Możesz iść spokojnie, nic ci się nie stanie”. Nie wiedziałam, jakie jest

źródło tego głosu, ale czułam się bezpiecznie pod tymi skrzydłami. Kiedy poszłam do szkoły, głos zaniknął.

Zdarzyło się to w letni słoneczny dzień. Rodzice pojechali do miasta. Zostaliśmy sami, wpadliśmy na pomysł pływania po sadzawce. Zdjęliśmy ciężką deskę z mostku, położyliśmy na wodzie. Z obory przynieśliśmy z Jarkiem po drewnianej łopacie do mieszania paszy w korytach. Usiedliśmy z bratem okrakiem na desce. Bożena została na brzegu. My, dzielni marynarze, wiosłowaliśmy, nasz statek leniwie pływał po sadzawce, nie było fali, więc nie mogliśmy nazwać jej morzem. Bożena dała znać, że pora przybijać do brzegu, ponieważ rodzice mogą wrócić z miasta. Wszystko położyliśmy na swoim miejscu. Bożenka nalała czystej wody do miski i dokładnie nas umyła. Takie zabawy pozostawały naszą tajemnicą.

W jakieś słoneczne popołudnie zobaczyłam Staszka, Jarka i Wieska przed zielonym kurnikiem, nie wiedziałam, w co się bawią. Podeszłam bliżej. Na ścianie kurnika Staszek namalował kredą duże koło, każdy z nich miał w rękach procę i kasztanami strzelali do celu. Też chciałam spróbować. Staszek dał mi swoją procę z kasztanem, chłopcy stali lekko z tyłu, przyglądając się, ja dokładnie wymierzyłam, naciągnęłam do oporu i strzeliłam. Krzyknął Wiesiek: „Oj!”. Dostał kasztanem w pierś. Zaczęli się śmiać. Wiesiek powiedział: „Jakie szczęście, że strzelamy kasztanami, a nie kamykami”. Byłam zdziwiona, jak to się stało, przecież mierzyłam dokładnie kasztanem do tego koła, dlaczego on tam nie poleciał? Staszek pokazał i objasnił mi prawidłowe trzymanie broni. Potem Jarek zrobił dla mnie procę, zbieraliśmy kamyczki pod ścianą stodoły, tam ich było dużo. Obieraliśmy różne cele, nigdy nie stłukliśmy żadnej szyby, nie strzelaliśmy do zwierząt, tylko do martwych obiektów lub w niebo.

W niebo dmuchaliśmy też piórka kurze, aby pomóc jaskółkom w urządzaniu gniazdka. Cieszyło nas, kiedy któraś szybkim lotem łapała piórko. Gniazd jaskółczych było dużo, a ptaków jeszcze więcej. Kiedyś podeszłam do Tatusia pracującego na podwórku zgłosić dziwną sprawę: „Tatusiu, nie wiem, co stało się jednej jaskółce, ale ona zakleja w swoim gniazdku otwór wejściowy?”. Przerwał swoją pracę, spytał: „Gdzie jest to gniazdko?”. Wskazałam ręką, wyjaśniając: „Tam pod dachem, nad drzwiami do kurnika”. Odpowiedział: „Zapamiętaj to miejsce, po trzech dniach jaskółka rozbierze domek od dołu i wypadnie z niego nieżywy wróbel, a ona doprowadzi gniazdko do powtórnego zamieszkania”. Faktycznie tak się stało i wcale mi nie było żal wróbla, który bezprawnie zajął nie swój domek, przecież jaskółki bardzo pracowały, aby go zbudować, nosiły w dzióbku błoto znad sadzawki i powoli wznosiły ściany.

W kuchni w podłodze znajdowała się prostokątna kłapa, a pod nią piwnica na warzywa. Któregoś jesiennego dnia otwór odsłonięto, drabinkę wystawiono, rodzice znosili dużymi koszami ziemniaki na zimę. Zachciało mi się jeść, więc podeszłam do kredensu, aby wziąć sobie chleb. Bochny chleba duże, pieczone w piecu przez Mamusię, niełatwo było ukroić kromkę, ale jakoś sobie z tym radziłam. Ukroiłam pajdę, posmarowałam i cofnęłam się. Wpadłam do tej dziury. Nic mi się nie stało, ale brzeg piwniczki prześwitywał wysoko. Musiałam czekać w tym więzieniu do przyjscia mamy z koszem ziemniaków. Gdy przyszła, zdziwiła się, co tam robię, wstawiła drabinkę i tak wydostałam się z pułapki.

Kiedyś bawiłam się plasteliną przy kuchennym stole. Tego dnia przyjechał wujek Józek i pracowali razem z Tatusiem przy czymś w gospodarstwie. Mamusia przyszła do kuchni gotować

obiad, powiedziała do mnie: „Dziś ugotuję rosół, ponieważ wujek bardzo lubi taką zupę”. Rozpaliła ogień w palenisku. Piec kuchenny zajmował cały róg pomieszczenia, zrobiony z jasnoniebieskich kafli, na obrzeżach płyty od strony ścian wykończony był również niebieskimi kablami, kończącymi się wysoko na ścianie gzymsem, poniżej zdobił ją granatowy szlaczek. Moja plastelina wymagała rozgrzania i wyrabiania w dłoni, ażeby coś uformować. Niebieski wałeczek położyłam na brzegu kuchni na kaflu, aby się rozgrzał. Po jakimś czasie idę po niego, a tu ani śladu. Pytam się: „Mamusiu, co mogło się stać z moją plasteliną, przecież ją tu położyłam?”. Wskazałam miejsce. Mamusia nie wiedziała, ale po chwili podniosła pokrywkę od garnka z rosółem, ażeby sprawdzić, czy zupa się ugotowała, a tam zobaczyła zielone oka. Momentalnie zmienił się jej wyraz twarzy i usłyszałam: „Oj! Dziecko! Twoja plastelina wpadła do garnka, i po rosole! Oni zaraz przyjdą! Muszę coś szybko nowego przyrządzić!”. Odstawiła garnek na bok. Mamusia straciła zupę, żal mi było mamy, ale także ulubionego koloru plasteliny, że akurat taki: jak go zastąpić? Jak to się stało? Przecież wałeczek położyłam na skraju kuchni na kaflu, a garnek stał po innej stronie na fajerkach nad ogniem. Przyszedł wujek, poczuł zapach rosółu, uradowany zajrzał do garnka i zdziwiony zapytał: „A to co się stało?”. Mama wyjaśniła: „Rysia położyła plastelinę tam na brzegu, ja jej nie zauważyłam, przykryłam pokrywką, musiała się przykleić od spodu, a potem wpadła do garnka”. Dopiero teraz zrobiło mi się naprawdę żal, że nie mają ulubionej zupy.

Innym razem Mamusia zrobiła w miseczce ciasto na zacierki, postawiła garnek z mlekiem nad ogniem i zwróciła się do siostry: „Bożenko, idę do obory do obrządku zwierząt, proszę, ugotuj zupę mleczną, masz tu wszystko przygotowane” i poszła do swoich

zająć. Za chwilę przyszła Haneczka i gdzieś z Bożeną pobiegły. Wiedziałam, że mleko nie gotuje się długo, a siostra nie wracała, nie chciałam jej wołać i psuć im zabawy. Umyłam ręce i skubałam ciasto na kawałeczki – jak mi się wydawało – odpowiedniej wielkości, tzn. takiej jak jemy. Potem przystawiłam taboret do kuchni, weszłam na niego i powrzucałam kluski do gotującego się mleka. Mieszałam łyżką, zadowolona, że mi się udało i mleko nie wykipiało. Gotowałam zupę, kiedy wróciła Bożenka, ucieszyły ją moje dokonania kulinarne. Przyszedł Tatuś z bratem i za chwilę wszyscy usiedliśmy do stołu, a siostra rozlała zupę do talerzy. Zaczęliśmy jeść, a moje kluchy ledwo mieściły się na łyżce. Jarek zaczął mi dokuczać, Tatuś wziął mnie w obronę. Kroiliśmy kluski łyżką i jakoś mieściły się w buzi, na szczęście się ugotowały.

Dzięki Haneczce mieliśmy czasami „spotkania towarzyskie przy herbacie”. Na skraju parku od strony zielonego kurnika rósł okazały fioletowy bez. Został tak posadzony, że wewnątrz utworzyła się cienista altana z wejściem z jednej strony. Ustawiliśmy sobie tam siedziska z cegieł, a pośrodku duży pieńek. Kuzynka przynosiła jasnoniebieski komplet do herbaty (zabawka): spodki, filiżanki, dzbanuszek. Zajmowaliśmy swoje miejsca, siedząc w kole, gospodyni „nalewała” poczęstunek. Delikatnie podawała nam „porcelanę”, z której popijaliśmy. Haneczka i Bożenka uczyły nas konwersacji przy herbacie i „delektowania” się napojem. Uważnie trzymałam spodek w lewej ręce, a prawą brałam za uszko filiżankę i małymi łykami popijałam, tu nie było pośpiechu.

W pokoju na szafce stał zegar, bardzo ładnie wydzwaniał godziny. Tego dnia rodzice pracowali w polu i zostawili mnie samą w domu. Zawsze znajdowałam sobie jakieś zajęcie – zabawę. Kiedy zegar wybił kolejną godzinę (nie znałam się na zegarze), pomyśla-

łam: „Jak zacznę kręcić dużą wskazówką, będzie wciąż dzwonił, nie trzeba czekać, aż ona tam dotrze”. Przystawiłam krzesło i zachwycona słuchałam: „diiing, dooong”, wymuszając na zegarze jego melodię. Nie usłyszałam, że rodzice wrócili i już są w kuchni. Naraz Tatuś zdenerwowany wpadł do pokoju, odwróciłam się i zauważyłam, że odpina pasek od spodni. Zeskoczyłam z krzesła, mama szybko wbiegła i stanęła między nami, na wprost Tatusia, osłaniając mnie. Raz dostało się jej tym paskiem, ojciec był bardzo wściekły. Mama rozkazująco krzyknęła: „Nie bij mi dziecka, przecież ona nie wiedziała, że tego nie wolno robić, najpierw wytłumacz!”. Tatuś się opamiętał i nic nie powiedział, wkładając pasek w spodnie, wyszedł do kuchni. Byłam wdzięczna Mamusi, że mnie osłoniła, nie śmiałam pytać, czy bardzo zabolęło ją to uderzenie po plecach.

Pewnego razu, gdy siedziałam na wozie w stodole, mieliśmy jechać w pole, Tatuś dał mi lejce, abym powoziła. Wio, marsz, prrrr: wiedziałam, kiedy się mówi i co robi lejcami, ale zakręty? Wyjechałam ze stodoły i Tatuś powiedział: „Ciągniesz z tej strony lejce (wskazał moją rękę) i mówisz: «lewo!»”. Jechaliśmy w pole, dalej było prosto. Wracając po pracy, znowu ja powoziłam, skręcając do stodoły, pociągnęłam lejce i krzyknęłam: „lewo!”. Tatuś sprostował: „prawo!”. Byłam zbyt przejęta, aby rozmawiać. W chwilę później, gdy z bratem wyszliśmy ze stodoły, spytałam: „Nie rozumiem, jak to jest, przecież tutaj, to samo miejsce, jak wyjeżdżałam ze stodoły, to mówiłam: «lewo», dlaczego wracając, nazywam je: «prawo?»”. Jarek się uśmiechnął i wytłumaczył: „To nie jest nazwa miejsca, tylko kierunku, w jakim jedziesz”. Wziął mnie za ręce. „Jak chcesz skręcić w tę stronę, to mówisz prawo i to jest prawa ręka, a to jest lewa ręka i nią skręca się w lewo. Choć

pobawimy się w «konia i woźnicę». Wzięliśmy sznurek, on był koniem, przełożył sobie lejce przez szyję na karku i złapał rękami, ja z drugiej strony wzięłam w dwie ręce, tak jak prawdziwe lejce. Nim ruszyliśmy, mój koń się odwrócił i przekazał reguły zabawy: „Ty powozisz, jedziesz, gdzie chcesz, pamiętaj, to jest prawa ręka i jak chcesz skręcać w tę stronę, to mówisz: «prawo!» i ciągniesz tą ręką, a gdy w lewo, to pracuje ta ręka. Ruszamy”. Koń był trochę narowisty albo zbyt mądry, czasami skręcał nie tam, gdzie chciałam i ciągnęłam, słuchał mojego głosu. Gdy go beształam, odpowiadał: „Przecież idę tam, gdzie mówisz”. W końcu zaczynało mi to prawie wychodzić, gdy przyszedł Wiesio i zaprzęgli się razem z bratem, ja zadowolona powoziłam już dwoma końmi, jak mój Tatuś. Zdarzały się jeszcze wypadki. Kiedy opanowałam jazdę bezbłędnie, usiedliśmy na schodach. Wiesiek opowiedział swoją historię: „Mój tata wsadził mnie na Kasztankę i pojechaliśmy w pole plewić buraki. Ja miałem pilnować, ażeby koń szedł równo między rzędami buraków, z góry nie bardzo to widziałem, więc tata mówił, kiedy prawo lub lewo, ja miałem lejce, a on prowadził opielacz³. Myliłem kierunki, w końcu Tatuś dał mi w tę rękę słomę, a w lewą siano i spytał: «Widzisz różnicę?». Odpowiedziałem, pokazując: «To jest słoma, a to siano» Od tej pory tata wołał słoma albo siano. Z czasem zapamiętałem, że w prawej ręce trzymam słomę, a w lewej siano”.

Innym razem byłam na podwórku, gdy Tatuś jechał na koniu, a drugi odpowiednio przywiązany szedł obok, wyprowadzał je na koniczynę na polu pod krzakami. Zawołał mnie, wsadził na Gniadego, przykazał trzymać się mocno grzywy. Sam wskoczył

³ Opielacz – proste urządzenie do plewienia roślin rosnących w rzędach.

na Karą, na szczęście tata miał wodze, ja swoimi rękami mocno ścisnęłam czarną grzywę konia, nie wiedziałam, że z konia tak daleko do ziemi. Jechaliśmy wolno, równy rytm kołyszącego się końskiego grzbietu nie groził upadkiem, a wręcz przeciwnie: był przyjemny. Czułam jego ciepło pod sobą. Następnym razem już miałam wodze od Gniadego, ale na wszelki wypadek Tatuś też mógł nim powozić. Polubiłam taką jazdę, konie miały swoje ogrodzone pastwisko za sadzonkami, to miejsce nazywaliśmy „końską zagrodą”, to była długa trasa, ponieważ droga skręcała pod kątem prostym, okalając łąki, które były poprzecinane rowkami odwadniającymi, wpadającymi do głównego rowu, a ten płynął do jeziora Parleta. Z wiekiem razem z Jarkiem wyprowadzaliśmy konie na pastwisko, wtedy galopowaliśmy. Kasztan był spokojnym koniem, Tatuś wciąż miał problem, aby dobrać mu równie urodziwą partnerkę. Stryjenka Mela w tym czasie miała Karą, rówieśnicę naszego Kasztana, oba były rasy sztumskiej (wywodzącej się z koni używanych przez Krzyżaków). Drugim koniem stryjenki był Gniady, równie okazały, ale miał cieńsze nogi w pęcicach. W zaprzęgu stanowiły ładną parę, tak że mój tata mówił: „Kobieta, a ma najładniejsze konie we wsi”.

Byłam już w siódmej klasie, gdy Tatuś w jakąś jesienną niedzielę powiedział: „Jadę do Cześków, chcesz jechać ze mną?”. Wybraliśmy się razem, ja dobrze powoziłam, więc miałam długą perspektywę jazdy: trzy kilometry do Sztumu, potem kolejne trzy do Koniecwałdu (w stronę Malborka). W tej wsi mieszkało rodzeństwo ojca: brat Czesław z żoną Heleną i trójką dzieci: Leokadią, Elżbietą, Izydorem; siostra Helena z mężem Bolesławem i dziećmi: Krystyną, Danką, Arkadiuszem. Obie rodziny, podobnie jak u nas, podzieliły się dużym gospodarstwem, mieszkali w jednym

okazałym, ładnym domu. Miejsce to nazywaliśmy Kaniewo. Stryjek Czesiek miał do sprzedania młodą gniadą klacz, czego tata mi wcześniej nie powiedział, tylko po przyjeździe wyszło, że mam wystąpić w roli eksperta. Dokładnie oglądnęliśmy konia, Tatusiowi się klaczka podobała, ja też poparłam zakup. Koń został przywiązany do naszego wozu i ruszyliśmy w drogę powrotną. Zastanawialiśmy się nad imieniem. Okazało się, że mama Kasztana, Kara, którą Tatus sprządał stryjkowi, jest również mamą gniadej. Ojciec chciał, żeby jakoś to uwzględnić w imieniu – zaproponował „Taśma” i tak już zostało. Taśma wyrosła na ładną klacz, ale mniejszą od Kasztana, była trzecim koniem, więc została w gospodarstwie. Tata mówił: „To jest koń dla kobiet”. W dużej mierze okazało się to prawdziwe. Koń był spokojny, więc brałyśmy ją na pastwisko, aby przywozić mleko w bańkach po udoju, ponieważ krowy na łąkach przebywały cały sezon: od maja do października. (Wyjątkowo przy brzydkiej aurze bydło zganiano do obory). Przywożenie zielonki to był mój obowiązek i jakieś drobne wyjazdy, bez większego obciążania wozu. Taśma pracowała też w polu jako trzeci koń, a czasami zmieniała któregoś z pary.

Późną wiosną następnego roku po zakupie konia Tatus radlił ziemniaki i poprosił mnie, abym około godziny 16 przyprowadziła mu na pole Taśmę na zmianę. Odrabiałam lekcje, ale w pewnym momencie pomyślałam: „Przecież nie będę jej prowadzić jak cielę na postronku, pójdę wcześniej i ujeżdżę ją”. Taśma jeszcze nie chodziła pod siodłem. Posłałam do stajni, okiełznałam ją, ale nie zakładałam ani siodła, ani uprzęży. Wyprowadziłam na podwórko pod stojak na mleko, oswajałam ją z tym, co ma nastąpić. Na dłoń założyłam kabel od elektryki trzyżyłowy, odpowiedniej długości, jako pejcz (wynalazek mojego brata). Z drewnianej

platformy na bańki łagodnie dosiadłam konia i zaczął się taniec. Lubiłam oglądać kowbojskie filmy, a tam nieraz można było zaobserwować, co wyprawiają konie i jak jeźdźcy z tym sobie radzą. Zawsze wiedziałam, że koń nie może wyczuć mojego lęku, ona była bardziej wystraszona, a tu obowiązywała zasada: „Nie koń rządzi, tylko ja”. Próbowала wierzgać i spuszczać głowę w dół, więc pejcem dostawała po zadzie, jednocześnie mocno ściągałam wodze, tak dotarliśmy do mostka, ale nie do rowku. Trzymałam ją ostro, więc wycofywała się aż do stojaka, pozwoliłam jej na to, aby się uspokoiła. Potem ruszyliśmy do przodu i stopniowo pozbywała się lęku, zaczynała akceptować nową dla niej sytuację. Jeździłam po drodze, gdy z jakiegoś powodu Tatuś wrócił z pola. Był mile zaskoczony, że ujeździłam Taśmę. Od tej pory miałam swojego konia pod siodło na wyprawy po lesie. Konno nauczyłam się znacznie wcześniej jeździć niż na rowerze, a to on stanowił podstawowy środek lokomocji, jeśli chodzi o wyprawy do miasta.

Wszyscy jeździli rowerami, a ja nie mogłam opanować tej umiejętności. Pewnego razu Staszek, widząc moje daremne wysiłki, powiedział: „Jak nie nauczysz się jeździć na rowerze, to do szkoły będziesz jeździła na hulajnodze”. Rodzice już kupili mi ładny kremowy rower – młodzieżową damkę. Tatuś zarządził, że uczyć mam się na rowerze Bożeny – niebieskiej młodzieżowej damce. Trochę pomagała mi mama, ale nie miała czasu, w gospodarstwie było dużo roboty. Czasami za siodełko próbowała przytrzymać mnie babcia, ale szła wolno, a jak się jedzie wolno, to nie ma równowagi, a tu trzeba opanować kręcenie pedałow i kierowanie kierownicą, tymczasem ja nie sięgałam do siodełka. Ćwiczyłam sama, w końcu wpadłam na pomysł: znalazłam na podwórku małą góreczkę z niewielkim spadem. Stawałam na peda-

łach, tylko kierując, rower nabierał rozpędu, więc utrzymywałam równowagę, jeżeli wcześniej się nie przewróciłam, zaczynałam pedałowac. Już coraz lepiej mi wychodziło, gdy po którymś upadku zobaczyłam, że pękły widełki przy przednim kole. Miałam przymusową przerwę w nauce, brat miał czerwony młodzieżowy rower męski, a Wiesiek podobny, tylko czarny. Po naprawie roweru siostry już bez problemu zaczęłam jeździć.

Pewnego razu jechaliśmy na rowerach z Mamusią i Jarkiem przez las. W jakiejś chwili Mamusia zawołała: „Zatrzymajmy się tutaj, coś wam pokażę!”. Zostawiliśmy rowery przy drodze i poszliśmy w prawo między drzewa świerkowo-liściaste po wysokich jagodziskach. Dziwiło mnie trochę, po co idziemy, ponieważ poszycie nie było grzybowe. Naraz mama pokazała ukryty wykop w ziemi, zeszliśmy w dół i naszym oczom ukazało się prostokątne wejście do bunkra. Zatrzymaliśmy się na brzegu budowli. Ujrzeliliśmy podłużny schron, sufit i ściany zbudowane z drewnianych, okorowanych bali ściśle przylegających do siebie, po obu bokach znajdowały się ławki, jakby jeszcze wydłużające pomieszczenie. Panował tam mrok, ale światło wpadające z zewnątrz wystarczająco oświetlało kryjówkę. Czuliśmy z bratem posmak emocji i lekkiego lęku, mimo obecności Mamusi – to był bunkier niemiecki, oczami wyobraźni widziałam siedzących żołnierzy, którzy tu się chronili w czasie wojny. Po wyjściu na górę dokładnie obejrzeliliśmy z bratem otoczenie bunkra. Zaznaczał się niewielki pagórek o łagodnym nachyleniu zboczy, porośnięty wysokimi jagodami, nawet jakieś krzewy i drzewka zasiały się na nim, stosunkowo duża warstwa ziemi przysypująca strop umożliwiała im wzrost. Idąc tędy, nie zauważylibyśmy budowli znajdującej się poniżej. Z ulgą wsiadłam na rower, pedałowując jak najdalej od tego napawa-

jącego grozą miejsca, jakby odczuwając strach ukrywających się tam ludzi, gotowych do walki o swoje życie.

W roku 1960, latem, Tatuś wypuścił wodę z sadzawki, otwierając służę i woda rowkiem wypłynęła na łąki. Po wyschnięciu przy pomocy koni i specjalnej metalowej szuflki wybrał muł z sadzawki. Tę ziemię przewiózł do zakładanego sadu za parkiem. Potem woda z pól i opadów atmosferycznych znowu zebrała się w zbiorniku. Któregoś razu kręciliśmy się na brzegu: Wiesiek, Jarek i ja. Zobaczyłam ubłoconą butelkę, wzięłam ją do ręki. Wiesiek krzyknął: „Nie ruszaj, to granat!”. Odpowiedziałam: „Coś ty, to butelka!”. Aby to udowodnić, z całej siły rzuciłam na granitowy głaz. Granat nie wybuchł, a butelka się nie rozbiła. Chłopcy stali przerażeni, wiedziałam już, że to granat i co nam groziło. Zawołaliśmy Heńka, który akurat był na przepustce z wojska, obejrzał znalezisko. Coś tam wyjaśnił o spłonce i zapalniku, to wszystko było zardzewiałe i mokre, leżało przecież w błocie około piętnastu lat, to nas uratowało. Wyrzucił granat na środek sadzawki, mówiąc: „Niech tam sobie dalej leży”. Trochę rozczerował mnie jego postępek z naszym znaleziskiem. Nasi kuzynowie w Kaniewie, Izidor z Adkiem, znaleziony niewypał wzięli do kuźni, aby dostać się do jego środka, historia zakończyła się szpitalem i bliznami na twarzy obu bohaterów. Jarek kiedyś w mule z rowu na łąkach znalazł szczątki zardzewiałego karabinu. Z dumą pokazał mi swój skarb, mówiąc: „Popatrz, to jest prawdziwy karabin, tu ma nabój, nie ma tylko drewnianej kolby, która zgniła”.

We wszystkim byłam bardzo szybka, mało uważna. Moja Mamusia nieraz mi powtarzała: „Dziecko, ty nie umrzesz własną naturalną śmiercią”. Wiedziałam, o co chodzi. Do końca podstawówki właściwie każdego roku miałam jakiś zauważalny wypa-

dek, który kończył się złamaniem ręki, ranami, pogryzieniem przez szerszenie, upadkami z wysokości itp.

Z szerszeniami było tak. Pojechałam z mamą do cici Marcinowskiej po papierówki. Nasz sad dopiero rósł. Wracałyśmy na rowerach z jabłkami i na skrzyżowaniu dróg (w prawo do domu, w lewo do lasu) w dolinie zauważyłam złamaną wierzbę nad drogą, po nocnej burzy. Odwróciłam się do mamy, która była daleko z tyłu i pokazałam ręką, gdzie jadę. Musiałam to przecież zobaczyć. Weszłam na złamane drzewo, szłam po konarze, a w dole znajdowała się błotnista kałuża. Naraz zaczęło brzęczeć dużo owadów i mnie kąsać, machałam rękami, co zaniepokoiło moją mamę, która dojechała do krzyżówki. Skręciła w moją stronę. Gniazdo owadów znajdowało się od strony pnia, ucieczka do przodu trudna, ponieważ przeszkadzały gałęzie, skok w dół – wysoko i kałuża, wróciłam więc przez gniazdo. Mama powiedziała: „To są szerszenie”. Przyjechałyśmy do domu. Położyłam się na wersalce w pokoju obok kuchni, w kilku miejscach miałam ukąszenia. Mamusia robiła mi okłady z kwaśnego mleka, z którego zaraz robił się ser, wówczas zmieniała kompres. Chodziła między kuchnią a pokojem. Leżałam spokojnie, ból był do wytrzymania. Przy którejś zmianie powiedziała: „U nas na Majdanie kiedyś sąsiada użądliły trzy szerszenie i umarł”. Policzyłam w myśli bolące miejsca, miałam ich więcej, niektóre były blisko siebie, więc wystarczył jeden okład. Zaczęłam się niepokoić. Na szczęście do wieczora wydobrałam, więc poszłam z Tatusiem i bratem zobaczyć, jak będą wypalać gniazdo szerszeni. Na wszelki wypadek ubraliśmy bluzy z długimi rękawami. To drzewo rosło na naszej łące, „dolinie”, w zakolu lasu, przy drodze rzadko używanej, prowadzącej przez las do Benowa.

Ze złamaniem ręki to dłuższa historia. Jarek hodował króliki, z czasem rodzice zgodzili się, ażebym też miała swoje klatki z tymi zwierzątkami. Kiedy byłam w piątej klasie, pewien ładny wiosenny dzień – 26 kwietnia – okazał się wyjątkowo pechowy. W niedzielę wieczorem obrabiałam szydełkiem chusteczkę na prace ręczne (w dużym pokoju, oglądając coś w telewizji), aby następnego dnia dokończyć na lekcji. Nie schowałam jej do teczki i na lekcji, ażeby uniknąć dwóí, skłamałam nauczycielce, że wczoraj robiłam ją w domu, skończyłam tę koronkę, ale zapomniałam włożyć do teczki. Pani M. ostro poleciła: „Jutro jest lekcja, to ją przynieś”. Gdy wracałam ze szkoły, zaraz za miastem przebiłam dętkę w tylnym kole roweru i musiałam wracać na piechotę, prowadząc rower – taka strata czasu – a tu buchnęła wiosna. Po powrocie ze szkoły wypuściłam króliki do sadku za szopką, trawa się zazieleniła: zwierzęta miały swój raj. Późnym popołudniem poszłam je polapać i schować do klatek. Wszystkie podbiegały na mój głos i dawały się złapać za uszy, ale duża niebieska samica polubiła wolność. Biegałam za nią po sadku, a ona zwinnymi susami, jak zając, skręcała gwałtownie na boki. Potknęłam się o szczepione drzewko (ponad trawę wystawała cienka gałązka, a w dole był grubszy pień, którego nie zauważyłam). Przewróciłam się niefortunnie, podpierając prawą ręką, zabołało w łokciu. Zrezygnowałam z łowów, poszłam po siatkę na tyczce (pomysł Jarka), ale prawa ręka sprawiała ból i nie mogłam posłużyć się tym przydatnym narzędziem. Bożenka była w domu, poprosiłam ją o pomoc. Udało jej się złapać królika do siatki i umieścić w klatce. Wróciłam do domu, zmartwiło mnie, że z bolącą ręką nie będę w stanie dokończyć chusteczki. Wieczorem Mamusia obejrzała rękę i zdecydowała: „Nie pójdziesz do szkoły, jutro pojedziemy

do ośrodka zdrowia do lekarza, ręka jest chyba złamana”. Ulga: „Moje kłamstwo z koronką nie wyjdzie na wierzch”.

Następnego dnia mama po wszystkich swoich rannych pracach była już gotowa do drogi, gdy nadjechał wozem stryjek Józek. Przyjechał do swoich pszczół (ule pozostały w naszym gospodarstwie ze względu na korzystniejsze okolice dla tych pracowitych owadów). Obejrzał moją rękę, kazał poruszać palcami i stwierdził: „Jak tak ruszasz, to nie jest złamana”. Nie mówiłam, jaki odczułam ból, trochę mnie to pocieszyło, ale wciąż myślałam: „Najgorsze przede mną”. Zdziwił się, że mama chce mnie zawieść na rowerze. Spytał: „Gdzie Stefan?”. Mamusia odpowiedziała: „Jest w polu, orze pod ziemniaki”. Opanował wzburzenie, które uwidoczniło się w całej jego postaci, powiedział zdecydowanym głosem: „Zawiozę was!”. Mamusia odpowiedziała: „Józek, nie trzeba, dziękuję ci, wolę jechać na rowerze, potem nie chciałabym wracać na piechotę”. Stryjek energicznym ruchem wstawił mamy rower na wóz, zawrócił konia w stronę miasta, a my, nic nie mówiąc, usiadłyśmy obok. Zawiózł nas do ośrodka zdrowia, a potem wrócił do swoich prac. W ośrodku nie było chirurga, miał być dopiero o godzinie trzeciej po południu, więc Mamusia zostawiła mnie w mieszkaniu stryjka Tadka, a sama wróciła do domu. Stryjkowie byli w pracy, a w mieszkaniu Ania (sześćioletnia kuzynka) z nianią, wołałabym u Teresy, gdzie zawsze czuliśmy się dobrze i miałam dobry kontakt z jej synami, ale tu było bliżej. Może i lepiej, bo przesiedziałam spokojnie te kilka godzin w fotelu, wiedząc, że „najgorsze przede mną”. W ośrodku zdrowia lekarz zalecił prześwietlenie rentgenowskie, a po obejrzeniu zdjęcia skierował do szpitala, mówiąc: „To jest skomplikowane złamanie, ja tu nic nie mogę zrobić”. Usztywnił tylko rękę. Tego dnia znalazłam się

w sali dla dzieci na oddziale chirurgii. Rękę podwieszono mi na wyciągu. Czas mijał przez kolejne dni. Odwiedzała mnie mama, rodzeństwo, synowie Teresy: Krzysiek i Zdzisiek, koleżanki z klasy. W czwartek przyszedł Tatuś z Mamusią, byli po rozmowie z lekarzem. Ojciec miał łzy w oczach, nie wiedziałam dlaczego, ręka już przestawała boleć, ale nic z nią nie robiono. Miałam wciąż świadomość: „najgorsze przede mną”.

W piątek byłam umówiona z Bożeną na spotkanie przez okna balkonowe. Liceum ogólnokształcące i szpital mieściły się w budynkach po niemieckich koszarach wojskowych. Okna z korytarza szpitalnego i podobne okna z liceum znajdowały się w budynkach naprzeciwko siebie w niewielkiej odległości. Bożena stała z Haneczką i popłakiwała. Spytałam: „Dlaczego płaczesz?”. Ona zdziwiona: „To ty nic nie wiesz, co cię czeka?”. Odpowiedziałam: „Nie wiem, powiedz, co mają zrobić z tą ręką?”. Haneczka podtrzymywała ją na duchu, aż siostra powiedziała: „Masz mieć operację”. Nie przeraziła mnie ta wiadomość. Już wiedziałam: wczoraj rodzice podpisali zgodę na operację.

Gdy wróciłam do sali, pielęgniarka chciała mi dać zastrzyk – „głupiego Jasia”. Oświadczyłam:

- Proszę nie robić mi tego zastrzyku.
- Dlaczego? – spytała zdziwiona.
- Wiem, że będę miała operację, nie boję się, a nie chcę być otumaniona – powiedziałam z przekonaniem.
- Skąd wiesz? – spytała nieco zaskoczona.
- Od siostry.
- Której siostry? – miała na myśli pielęgniarkę.
- Nie od pielęgniarki, tylko od mojej rodzonej siostry – odpowiedziałam z pewną dumą.

Po jakimś czasie wzięli mnie na łóżko-wózek i zawieźli na salę operacyjną, przywiązali i założyli maskę, zatruwając narkozą. Obawiałam się, że nie zdążę zasnąć, a zaczną mnie kroić. Poczułam ból z prawej strony, ale śniło mi się, że Indianie siekają mnie jakimiś różgami. Potem w półśnie przewieźli mnie na moją salę. Zbudziłam się z ręką w gipsie nadal uwiązaną na wyciągu, po czasie wrócił ból. Kilka dni tak przeleżałam, wstając tylko do ubikacji.

W Sztumie od 1 maja można było kupić lody. Gałki lodów umieszczano między dwoma wafelkami. Jarek potrafił kupić dwie porcje lodów w kiosku około 300 metrów od szpitala i biegiem dotrzeć do mnie, za pierwszym razem tłumacząc: „Wiesz, twoją porcję też musiałem trochę lizać, aby nie kapiała”. Przemykał pod pokojem pielęgniarek niezauważany, wizyty były tylko w trzy dni tygodnia od godziny 14, a on wcześniej kończył lekcje i zaglądał codziennie.

W następnym tygodniu wróciłam do domu. Rękę nosiłam na temblaku, do szkoły woziła mnie Bożena na swoim rowerze, wracałam na piechotę. Mama nie zgodziła się, abym jeździła rowerem, kierując jedną ręką. Wciąż nie byłam pewna, czy „najgorsze już za mną”? Wiedziałam, że te łzy w oczach Tatusia dotyczyły obawy, czy będę miała sprawną rękę. W czasie wojny w 1939 r. w bitwie ojcu przestrelono prawą rękę w okolicach łokcia. Czołgał się z trudem po polnej drodze, krzyknął tak jak na szkoleniu: „Jestem ranny!”. Na taki okrzyk któryś z żołnierzy powinien udzielić mu pomocy, ale to było na szkoleniu, a nie gdy w górze latały niemieckie samoloty i „wyłuskiwali” ukrywających się żołnierzy. Chciał się schować pod łodygami ziemniaczanymi, ale tam znany mu żołnierz (Ukrainiec) krzyknął: „Nie czołgaj się tu, bo mnie zdradzisz!”. Pozostał na drodze, myśląc: „Za chwilę się wykrwa-

wię albo zastrzelą mnie z góry”. Nadeszło dwóch Niemców, jeden chciał zastrzelić, drugi rzekł: „Nein, er ist verletzt!”⁴. Pochylił się i założył opatrunek. Tak Tatuś dostał się do niewoli niemieckiej. Z czasem odzyskał sprawność prawej ręki, pozostała tylko blizna.

W szkole nie notowałam w zeszytach, ale wystarczało mi to, co usłyszałam na lekcji albo uczyłam się z podręczników. Trochę nauczyłam się pisać lewą ręką, pamiętam zdziwienie pani Senger, kiedy napisałam na tablicy rozwiązanie zadania. Pisanie na tablicy było łatwiejsze niż w zeszytach, a do tego lubiłam matematykę. Po zdjęciu gipsu w szpitalu na oddziale chirurgii przenieśli mnie do szpitala rehabilitacyjnego, z którego okien (po drugiej stronie ulicy) widziałam moją szkołę. Miałam dużo zabiegów i ćwiczeń, ręka stawiała opory; czy to już w końcu jest: „najgorsze za mną”? Pod moją nieobecność (byłam na zabiegach) Mamusia zostawiła mi świadectwo szkolne w mojej szafce. Dzieci powiedziały mi o tym, miałam same piątki, byłam zdziwiona, że nauczycielka od prac ręcznych podarowała mi tę koronkę przy chusteczce. Po wielu latach, kiedy moja koleżanka w prezencie dała mi kilka takich chusteczek ładnie obdzierganych, szanowałam je tak bardzo, że istnieją do tej pory.

Szpital rehabilitacyjny dopiero powstawał (też w budynku po koszarach), w lipcu zamknięto oddział dla dzieci (jakieś remonty), zabiegi odbywały się w niższej części obiektu, więc dojeżdżałam na nie z domu. W sierpniu, kiedy otwarto oddział, nie wróciłam do szpitala, a lekarka rehabilitantka nie wyraziła zgody na moje dojazdy. Mamusia spytała: „Czy możesz ćwiczyć sama?”. Ćwiczyłam w domu, oszczędzając rękę przy pracach, dużo nauczyłam się

⁴ „Nie, on jest ranny”.

robić lewą ręką. Jesienią zjawiliśmy się u doktora Markiewicza – chirurga, który mnie operował i ostrzegął rodziców, że mogę nie mieć sprawnej ręki. Zbadał ją dokładnie, polecał różne ruchy i wyraził swoje zadowolenie: „Nie spodziewałem się, że tak uda się operacja i tak dobrze wyćwiczysz rękę. Mogłbym wystawić zaświadczenie na 5 procent kalectwa”. Ulga: „najgorsze za mną”.

Dni rodziców były wypełnione pracą w gospodarstwie. Od małego staraliśmy się włączać w rozmaite zajęcia, aby im pomóc. Rodzice cierpliwie wdrażali nas do pracy i poczucia obowiązku. Cieszyło mnie, że już potrafię wykonać coraz trudniejsze zadania. Pierwsze odbieranie zboża za kosiarzem (Mamusia) zaczęłam ostatniego lata przed pójściem do szkoły. Rodzice kosili żyto na ugorze, ziemia piaszczysta uniemożliwiała wjechanie snopowiązałką. Mamusia równo ścinała zboże na „ścianę”, bez problemu zgarniałam mizerne źdźbła do siebie, formując równe pęki, które związywała Bożenka. Pierwszy zespół tworzył Tatusz z Jarkiem i Zosią (siostra ojca). Zawsze lubiłam początek żniw, kiedy obkaszło się poszczególne uprawy zbóż, ażeby umożliwić wjazd snopowiązałki. U nas nie było między dzielącej pole na obszary, więc tylko niektóre odcinki należało kosić ręcznie. (Tego piaszczystego pola-ugoru Tatusz zrzekł się na rzecz gminy, z czasem posadzono tam las sosnowy). Równy chrzęst ścinanego zboża, gra świerszczy stapiały się z ludźmi wykonującymi tę pracę. Od czasu do czasu zgrzyt osełki na ostrzonej kosie dawał odprężenie dla pleców i spojrzenie w dal na koszony łąn. Snopowiązałkę ciągnęły trzy konie, a ona produkowała gotowe snopki, pomniejszając od zewnątrz ściany prostokąta. Chodziliśmy po obwodzie skoszonego czworoboku, ustawiając snopki w mendle, kopy lub rzędy – w zależności od rodzaju zboża. To była uciążliwa praca dla ludzi i koni. Maszy-

na głośno zgrzytała, obracając swoje tryby i również zdawała się utrudzona. Zwózka snopów do stodoły kończyła żniwa. Lubiłam to zajęcie, jako dziecko moim (lub Jarka) obowiązkiem było podjeżdżanie w konie do kolejnej gromady. Kiedy podrosłam, podzieliliśmy się na dwie brygady. Ja wyjeżdżałam w pole z wynajętym pracownikiem po snopy, układałam je na wozie. Udawało mi się szeroko i wysoko układać te złociste skarby. Odwoziłam je do stodoły, gdzie pierwsza brygada je młóciła, czyli słoma, ziarno i plewy znajdowały swoje nowe miejsce. Jarek zrzucał snopy na młocarnię, Bożenka je rozcinała, podając Mamusi, która je wpuszczała do paszczy maszyny. Tatuś sterował odbieraniem omłotu, a Zosia rozkładała w zasięgu słomę prawie pod belki stropowe. Potem wypychali wóz na podwórko, a ja od strony pola wjeżdżałam z kolejną furą. Mimo zmęczenia wszyscy czuliśmy radość z wykonywanej pracy, może powodowało to słońce i złote sypiące się ziarno?

Czasami robiłam podorywki: błyszczące rżysko obracało się do góry nogami, kryjąc się pod skibą. Znowu cieszyło, kiedy pomniejszał się orany prostokąt. Co jakiś czas dawałam odpocząć spoconym koniom, poluzowując im uprzęż. Wtedy wzrok ogarniał widoki aż po horyzont. Bardziej lubiłam pracę końmi wiosną, kiedy bronowałam pod przyszłe siewy. Zwykle w gorze świergoliły skowronki, a pole zamieniało się w równo uczesaną powierzchnię. Potem siewy z Tatusiem: on powoził końmi, a ja prowadziłam siewnik. Wyjeżdżaliśmy wcześniej, jeszcze panował poranny chłód. Tatuś napełniał ziarnem skrzynię siewnika i ruszaliśmy w wędrowkę wzdłuż pola, a Ziemia wokół Słońca. Ziemia – ta pod nogami – dyszała spragniona ziarna i jego wzrostu, skowronki śpiewały, jaki świat jest piękny, jakby również chciały zachęcić ziarno do wyjrzenia z gleby, aby stał się cud natury.

Sianokosy zbiegały się z początkiem wakacji. Tatuś kosił łąki kosiarką, my z bratem na przemian grabiarką ściągaliśmy siano w podłużne wały. Grabiarka huczała, ale nie tłumiła zapachu siana, które potem zwoziliśmy na poddasze obory. Zwożenie płodów rolnych przesycone było wewnętrzną radością, dumą, to więcej niż efekt dobrze wykonanej pracy, może dlatego że we wzrastaniu roślin brały udział siły od nas niezależne. Lubiłam prace polowe, a także ze zwierzętami, z czasem to te zajęcia wypełniały mój czas wolny od nauki.